NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. — Do Niemiec: Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 40 halerzy — 20 kop. — 40 fen.

Rok XIII. Kraków, 4 listopada 1916. Nr. 45.

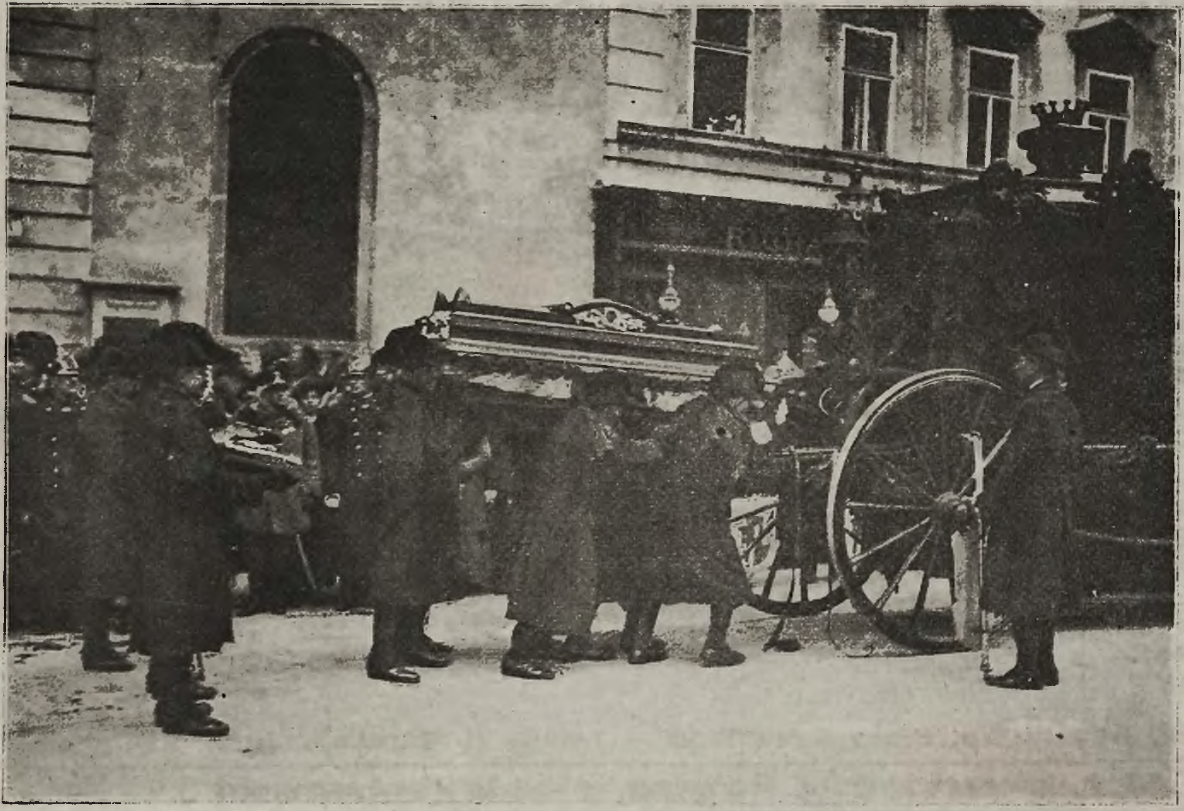
Pamięci zmarłych.



Groby Legionistów na cmentarzu rakowickim w Krakowie.

Pamięci zmarłych.

Ze wszystkich uczuć, cześć dla umarłych i pamięć o nich jest może najbardziej szlachetnem i bezinteresownem... Ale życie ma swoje prawa. W chaosie codziennych walk i kłopotów, ludzie zapominają często o tych, co już odeszli na zawsze, choć oni są właściwie twórcami życia, bo dorobkiem pracy minionych pokoleń żyją współcześni. Jest to pewnego rodzaju niewdzięczność życia, które zawsze woli patrzeć przed siebie, niż poza siebie... Nie może być zresztą inaczej, bo korzystając z dorobku spoczywających już w grobie pokoleń, pracujemy dla przyszłości. Na tem polega właśnie postęp... Gdy jednak wartki potok życia przygłusza tęsknotę za tymi, których nieubłagana śmierć wyrwała z pośród żyjących — z tem gorętszem i silniejszem uczuciem składamy Im hołd w dniu dorocznego Święta Umarłych... Lecz jeśli zawsze ten dzień, poświęcony pamięci zmarłych, budzi w sercach niewypowiedziane tęsknoty, gorące wspomnienia, nieukojony żal za minionem życiem, co legło już w grobach, to tem goręcej przemawia do nas dziś — gdy wojna tyle usypała świeżych mogił...



Po zamordowaniu hr. Stürgkha: Wyniesienie zwłok z kościoła św. Michała.

Po zamordowaniu hr. Stuergkha.

W poprzednim numerze podaliśmy obszerny opis morderstwa, spełnionego na osobie premiera austryackiego, a w dzisiejszym numerze, zamieszczając zdjęcia z miejsca zbrodni i z pogrzebu ś. p. hr. Stürgkha, relacyę tę uzupełniamy dalszymi szczegółami.

Dokonane w hotelu Meissl i Schaden oględziny stwierdziły, że kula, znaleziona obok okna, pochodzi od strzału, skierowanego w głowę hr. Stürgkha. Krzesło, na którem siedział, wykazało na górze na poręczy ślady draśnięcia kulą. Kula chybiła celu i przeszła przez portyery u kolumn balustrady poza krzesłem, poczem uderzyła w grubą szybę okienną,



Po zamordowaniu hr. Stürgkha: Zewnętrzny wygląd hotelu Meissl & Schaden w Wiedniu, gdzie rozegrała się tragedya.



Pamięci zmarłych: Ozdabianie przed dniem Zadusznym grobów żołnierzy, poległych śmiercią bohaterską na polu chwały, na Centralnym cmentarzu w Wiedniu.

wygniotła ją, nie rozbijając, i upadła potem zniekształcona na ziemię.

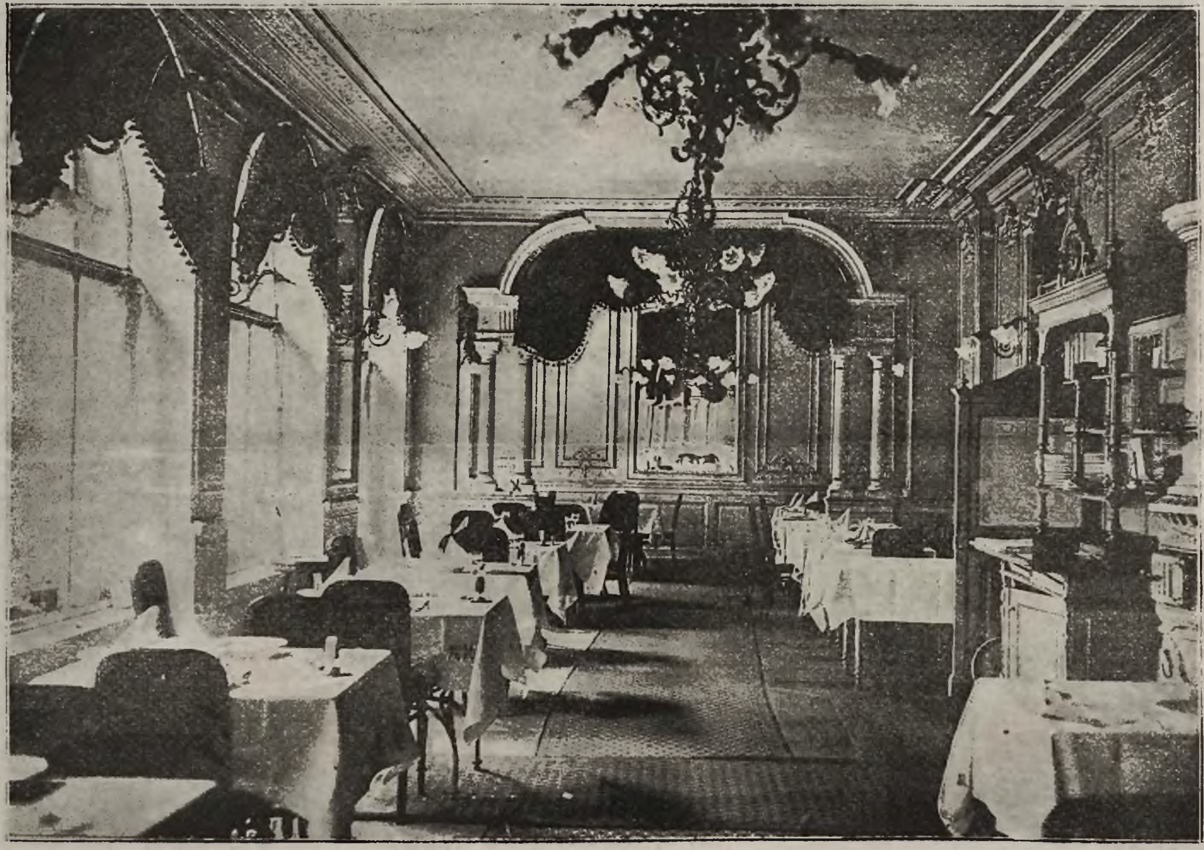
Sprawca morderstwa, dr. Adler, podczas pierwszego przesłuchania w policyi zeznał,

Zanim strzelił do prezydenta, musiał czekać czas jakiś, albowiem między ministrem a nim siedziała jakaś dama, która byłaby narażona na niebezpieczeństwo, a on pragnął uniknąć „niepotrzebnego rozlewu krwi". Następnie oświadczył dr. Adler z całą stanowczością, że nie miał wspólnika, że sam jeden bez żadnej pomocy czynu swego dokonał. Co ma na swoją obronę, powie dopiero przed sądem, tam dopiero wyjawi powód, który go do tego czynu skłonił.

Pogrzeb ś. p. hr. Stürgkha odbył się w dniu 24. i 25. października. W pierwszym dniu odbyły się ceremonie pokropienia zwłok w kościele św. Michała. Wiele wozów z wieńcami, między innymi także od cesarza niemieckiego, otwierało pochód żałobny. Tuż po godzinie trzeciej wniesiono zwłoki do kościoła, gdzie się zjawili: w zastępstwie cesarza gen. pułkownik arcyks. Leopold Salwator, w zastępstwie cesarza niemieckiego ambasador Tschirsky, dalej w zastępstwie króla bawarskiego sekr. legacyjny bar. Hoffmann, króla saskiego poseł Nostitz-Wallwitz, następcy tronu ochmistrz hr. Berchtold, arcyksiężny Zyty gen. major ks. Lobkowitz, za arcyksięcia Franciszka Salwatora hr. Bellegarde. W oratoryum dworskiem obecna była arcysiężna Marya Józefa. Arcyksiążę Karol Stefan zjawił się osobiście. Przybyli dalej dygnitarze dworscy i państwowi, członkowie ciała dyplomatycznego, hr. Tisza z ministrami, namiestnicy Dolnej Austryi i Moraw, deputacya Izby posłów z prezydentem Sylwestrem, prezydyum Izby panów, reprezentacya rady miejskiej z drem Weisskirchnerem, prawie wszyscy wolni od służby generałowie i oficerowie sztabu, biskup polowy Bielik, reprezentanci kleru i tak dalej. Kardynał arcybiskup dr. Piffl u wejścia do kościoła dokonał pokropienia zwłok, poczem w prezbiteryum nastąpiło drugie ich pokropienie przez kardynała. Kondukt pogrzebowy z kościoła przesunął się potem aż na plac Schwarzenberga, gdzie się rozwiązał. Zwłoki przewieziono stąd na dworzec kolei południowej, w nocy zaś odeszły do Halbenrain w Styryi, gdzie dnia następnego złożono je na wieczny spoczynek w grobowcu rodzinnym...



Po zamordowaniu hr. Stürgkha: Stół, przy którym dokonano zbrodni. Obok starszy kelner, Gustaw Fruhmann, który ujął mordercę



Po zamordowaniu hr. Stürgkha: Sala jadalna w hotelu Meissl & Schaden. Na lewo (XX) stół, przy którym siedział dr. Adler, w głębi, koło ściany (X) zwykłe miejsce hr. Stürgkha.



Z frontów bojowych: Ogólny widok Konstanzy.



Nowy premier austryacki: Dr. Ernest Koerber.

Nowy premier austryacki.

Spadek po zamordowanym hr. Stürgkhu objął dr. Ernest Koerber, jeden z najwybitniejszych polityków austryackich z ostatnich dwudziestu lat. Mianowany świeżo prezydent nowego gabinetu austryackiego urodził się w roku 1850. Uzyskawszy w roku 1872 doktorat prawa na uniwersytecie w Wiedniu, po krótkiej praktyce sądowej dostał się do ministerstwa handlu, w którem otrzymał w roku 1893 rangę szefa sekcyi, pracując w rozmaitych działach tego resortu. W roku 1895 został, jako następca dra Bilińskiego, kierownikiem generalnej dyrekcyi kolei państwowych. Na tem stanowisku przeprowadził przemianę generalnej dyrekcyi na ministerstwo kolei. Po zamianowaniu generała Guttenberga pierwszym ministrem kolei państwowych w roku 1896 przeniósł się dr. Koerber, jako szef sekcyi, do ministerstwa spraw wewnętrznych, otrzymawszy tytuł tajnego radcy.

W roku 1897 wstąpił dr. Koerber jako minister handlu do gabinetu br. Gautscha, a w marcu następnego roku podał się do dymisyi i ustąpił razem



Z frontów bojowych: Odpoczynek żołnierzy albańskich na froncie macedońskim

z br. Gautschem. Gdy po upadku gabinetu hr. Thuna utworzył hr. Clary nowy gabinet w październiku 1899, dr. Koerber objął w nim tekę ministra spraw wewnętrznych. W grudniu 1899 roku ustąpił gabinet Clary'ego, po którym przyszedł do steru rządów Wittek na czele gabinetu przejściowego. Dnia 18. stycznia 1900 roku stanął dr. Koerber na czele nowego gabinetu, obejmując zarazem tekę spraw wewnętrznych. Na czele gabinetu stał przez pięć lat.

Stanowisko miał niełatwe. Walka o prawa językowe w Czechach i obstrukcya posłów czeskich pod wodzą Kramarza, sprawa ugody z Węgrami, a wreszcie sprawa podwyższenia kontygentu rekrutów — oto kwestye, które były głównemi szkopułami w ówczesnej polityce wewnętrznej.

Różne trudności piętrzyły się, aż wreszcie dr. Koerber znalazł się wobec bardzo znacznej większości przeciwników. Wtedy dr. Koerber odroczył parlament i podał się do dymisyi, która dnia 31. grudnia 1904 została przyjęta.

Przez lat przeszło 10 trzymał się dr. Koerber zdala od polityki czynnej. Dopiero w dniu 7. lutego 1915 r. został po ustąpieniu dra Bilińskiego wspólnym ministrem skarbu.

Ze spraw polskich, które za prezydentury dra Koerbera bądź wdrożone, bądź załatwione zostały, podnieść należy między innemi uchwalenie ustawy o budowie kanału Dunaj-Odra Wisła i rozegranie procesu o Morskie Oko z Węgrami. Wogóle utrzymywał dr. Koerber z Kołem polskiem, które wybitne jego zdolności jako męża stanu zawsze cenić umiało, przyjazne stosunki.

Kuchnie obywatelskie w Krakowie.

I Kraków otrzymał w ostatnich dniach instytucyę, której brak w obecnych czasach drożyzny i trudności aprowizacyjnych dotkliwie dawał się odczuwać. W ubiegłą sobotę dokonano mianowicie otwarcia trzech kuchni obywatelskich przy ulicy Franciszkańskiej, Alei Krasińskiego i ulicy Starowiślnej. Główna uroczystość odbyła się w dawnym refektarzu OO. Franciszkanów przy ulicy Franciszkańskiej, gdzie urządzono kuchnię, głównie dla inteligencyi, wraz z wielką salą jadalną. — Na uroczystość przybyli: Książę-biskup Adam Sapieha z sekretarzem księdzem drem Niemczyńskim, ksiądz arcybiskup Symon, prałat Starowieyski, delegat dr. Fedorowicz z sekretarzem namiestnictwa drem Studzińskim, dyrektor policyi dr. Broszkiewicz, komendant twierdzy generał Lukas, prezydyum miasta w komplecie, liczne grono radnych miejskich, naczelnicy Wydziałów magistratu, panie opiekujące się kuchniami i liczni goście.

Poświęcenia lokalu kuchni i jadalni dokonał Książę biskup Sapieha. Następnie prezydent dr. Leo wygłosił krótkie przemówienie, podnosząc, że powołano do życia instytucye, jakich jeszcze w mieście naszem nie było, w tym celu, aby przetrzymać, przeżyć te ciężkie czasy. Kuchnie obywatelskie są instytucyami samopomocy, gmina wzięła na siebie jedynie ich organizacyę i wyposażenie, o utrzymanie zaś starać się mają ci, którzy zamierzają z nich korzystać. Na razie otworzyła gmina trzy kuchnie, a w przyszłości otworzy ich tyle, ile okaże się potrzeba.



Kuchnie obywatelskie w Krakowie: Uroczystość otwarcia i poświęcenia kuchni przy ul. Franciszkańskiej.



Kuchnie obywatelskie w Krakowie: Pierwszy obiad w kuchni przy ul. Franciszkańskiej.

Obywatelski, słusznie podkreślony w nazwie, a nie filantropijny charakter kuchni zaznaczył się od razu w pierwszym dniu funkcyonowania. Prowadzenie bowiem kuchni w zasadzie obliczone jest tak, żeby się one opłacały same, żeby publiczność, w nich się odżywiająca, płaciła w zupełności za wszystko. Większa w nich stosunkowo taniość umożliwiona jest przez masowe zakupno artykułów i masowe przyrządzanie. Celem kuchni jest usunięcie trudności, jakie w dzisiejszych czasach przedstawia dla rodzin wyżywienie się, wskutek uciążliwych warunków indywidualnego zaopatrywania się w najniezbędniejsze artykuły.

Zaznaczyć jeszcze należy, że w kuchniach obywatelskich są wydawane nietylko obiady (do spożycia na miejscu lub do domów) ale także śniadania (kawa biała lub herbata) i kolacye. Cały obiad kosztuje 1 kor., a ceny poszczególnych potraw są następujące:

a) Przy obiadach z mięsem: za półlitrową porcyę zupy dwadzieścia halerzy, za pół litra jarzyn trzydzieści halerzy, za porcyę potrawy mięsnej pięćdziesiąt halerzy. *b)* Przy obiadach bezmięsnych: za półlitrową porcyę zupy dwadzieścia halerzy, za półlitrową porcyę jarzyny czterdzieści halerzy, za porcyę leguminy w wymiarze dwadzieścia pięć do trzydzieści dekagramów czterdzieści halerzy.

Adam Wiaryga Minieski.

Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

5

— Pan mecynas jej powie, że po wojnie, to przez to moratoryjum to jej takie procenty od te długi, co ma, narosną, że una będzie dopłacić dwa razy tyle do tego grunt, co on wart.

— Kiedy ona pomimo moratoryum regularnie opłaca procenty od długów!

— Co sze taka głupia, wiejska baba na tem rozumie! Pan mecynas powie, że narosną, to narosną! A jakby ona na żaden sposób nie chciała sprzedać, to niech una weźmie mojego szwagier na dżerżawę... To nam wystarczy! No, panie mecynasie, interes stoi, zgoda?

— Niechże będzie zgoda — tylko słuchaj Fiszgold — żadne obiecanki, żadne gruszki na wierzbie — gwarancya pewna musi być!

— To sze rozumie!

ROZDZIAŁ IV.

Urywki z pamiętnika Kornelii Witowtówny.

25. czerwca.

Nie widziałam go już dwa dni. Trudniej mi go teraz widywać, bo nie mieszka w szpitalu, lecz w domu. Byłam tam dzisiaj, zaniosłam Jance książkę, o którą mnie już dawno prosiła, ale Ludwika nie zastałam. Nie śmiałam pytać o niego, bo pani Rażycka tak jakoś dziwnie patrzyła na mnie... Strach mnie zdjął, aby nie odgadła, co mnie przygnało... Ta kobieta ma takie mądre, przenikliwe oczy. Zlękłam się... Mówiłam dużo, śmiałam się jeszcze więcej, wprowadziłam i ją i Jankę w doskonały humor, ale o Ludwiku nie wspomniałam ani słowa.

Gdzieby on mógł być? Przez cały dzień rozchlapał się dzisiaj drobny, zimny, przejmujący deszcz. On może nawet zaszkodzić sobie wychodząc w taką niepogodę.

Zajrzałam do kilku kawiarń, nie było go nigdzie... Może... może jest u jakiej kobiety... Kto wie, czy nie przygwabiła go znowu Warewiczowa... Ale chyba nie. Musiało między nimi zajść coś poważnego, co ich roztrąciło na zawsze, bo nie słyszałam jeszcze, aby się Ludwik o jakiejkolwiek kobiecie z równą wyrażał pogardą.

To dobrze, to dobrze... Niechby inna, byle tylko nie ona.

Inna? Byle nie ona?... Poco kłamać przed sobą samą? Czyż nie wszystko jedno, która mi go wydrze? Czyż ból będzie mniejszy, zazdrość mniej piekąca, choćby ta „inna“ była najlepsza, najszlachetniejsza? Śmieszne! Śmiałabym się sama z tego serdecznie. tylko tyle już śmieję się, kiedy jestem z ludźmi, że mi dla siebie tego śmiechu braknie... Kornelko! Przejrzyj się z laski swojej w lustrze! Prawda! Nie posiadasz w twoim dziewiczym apartamencie tego zbytkownego sprzętu. I słusznie! Bo po co ci?

26. czerwca.

Pytała się mnie Łuskowska, dlaczego nie przychodzę na obiady. Odpowiedziałam jej wymijająco. Nie mogę. Muszę nawet zacząć jadać skromniejsze kolacye, przestanę kupować jajka.

Nie starczyłoby mi. Te podarunki dla Ludwika, które mu posłałam bezimiennie, kosztowały dużo. Szczególnie wino było bardzo drogie. Ale on chętnie pija dobre wino.

A jak się cieszył tym koszem herbacianych róż... To prawda, że piękniejszych róż nie mogłam już znaleźć w całym Krakowie. Zachodził w głowę, ktoby to mógł przysyłać... Snuł najrozmaitsze przypuszczenia i bawił się niemi jak dziecko. Pomagałam mu odgadywać, ale naturalnie do rozwiązania zagadki nie doszliśmy...

Widziałam wczoraj w kwiaciarni na Szewskiej dziwaczne, złotawo-zielone storczyki, centkowane, przecudne... On lubi storczyki. Poślę mu.

Ani mu w myśli podejrzywać moje „incognito“. To dobrze, bo w przeciwnym razie straciłyby te niespodzianki cały urok dla niego...

30. czerwca.

Po raz pierwszy odczułam silnie nieznośny przymus, niewolę pracy zarobkowej i wzięła mnie ochota zatargać moją obrożą, ale nie wolno mi, nie mogę... Ludwik zaproponował, abym znowu poszła przed południem na daleki spacer, a ja musiałam odmówić! Musiałam mu odmówić! Stracić jedną z tych chwil, których łaknę, jak spragniony kropli wody... Nie mogłam iść, bo w tym czasie mam pracę obowiązkową.

W laboratoryum popełniłam cały szereg nie zręczności, stłukłam kilka epruwetek, wylałam kosztowny płyn...

Asystent zrobił mi cierpką uwagę, odpowiedziałam szorstko i przestraszyłam się zaraz tej mojej zuchwałości. Zabrałam się ze zdwojoną gorliwością do roboty. Nie mogę ryzykować. Cóżbym zrobiła, gdybym straciła posadę?

2. lipca.

Spotkałam dzisiaj doktorową Ziarczyńską. Robiła mi wymówki, że zaprzestałam mojej pracy dla „Komitetu opieki nad sierotami“. „Była pani tak użyteczną pracownicą“ — powiedziała — „a teraz nagle znikła pani. Proszę zajrzeć znowu do nas, przyda się pani bardzo nam i sierotom“.

Tłómaczyłam się, wymawiałam brakiem czasu: kłamałam. Nie mogłam jej przecież powiedzieć: Co mnie to teraz wszystko obchodzi, kiedy on tutaj jest, kiedy jedyną moją tęsknotą, jedynem pragnieniem — to patrzeć w jego oczy, cudne, najukochańsze, modre oczy, słuchać jego głosu, odgadywać życzenia!...

Ziarczyńska powiada, że mogę przydać się sierotom... a może z pośród tych wszystkich sierot, to właśnie ja jestem najbiedniejszą. najbardziej opuszczoną sierotą, którą się nikt nie opiekuje, której nikt nie przygarnie...

Od najmłodszych lat słyszałam zawsze, że powinnam „przydawać się“ innym, aby ich „użytecznością“ swoją przebłagać za moją brzydotę.

Matka, siostry, kuzynki, wszyscy domowi posługiwali się mną ciągle, wyręczali na każdym kroku.

Pamiętam, kiedy bywałam z matką i siostrami na wieczorkach, nie brałam nigdy bezpośredniego udziału w tańcach i zabawie, ale za to byłam „przydatna“, „pożyteczna“, usłużna“... Grałam do tańca, pomagałam przy nakrywaniu stołu i przyrządzaniu kolacyi, wymyślałam gry towarzyskie, poprawiałam moim rówieśnicom rozwichrzone tańcem włosy i słuchałam ich rozmarzonych szeptów i poufnych zwierzeń.

I tak już, zdaje się, zawsze... aż do końca przeznaczeniem mojem jest „grać do tańca“ innym.

3. lipca.

Nie, to jednak straszne! To niesprawiedliwe i czasem nawet taki jak ja pokorny, nędzny, deptany robak buntuje się i pyta, dlaczego?!

Przecież ja jestem młoda, zdrowa, normalna, mam krew gorącą w żyłach i serce, które się rwie do miłości. Gdyby moim został ten, którego pokochałam, serce podesłałabym mu pod nogi, aby mu lżej stąpać było, ręce pokrwawiłabym w pracy, byle on się wysilać nie musiał, kochałabym świat cały, i ludzi i Boga, w wdzięczności przeogromnej za to szczęście moje jedyne!...

A nie wolno mi o niem marzyć nawet, jeżeli nie chcę stać się śmieszną...

I dlaczego? powtarzam!

Więc dlatego, że ślepy przypadek stworzył mnie ohydnie brzydką, że dał mi szeroki, zadarty nos, rybie wypełzłe oczy, czerwoną, piegowatą cerę i czarne, zepsute zęby — dlatego muszę się wyrzec praw do miłości, do szczęścia?

O męko! męko!

6. lipca, niedziela.

Piękny był dzisiaj dzień, bardzo piękny. Pani Rażycka zaprosiła mnie na obiad i cały dzień aż do późnego wieczora przepędziłam w towarzystwie Ludwika i jego rodziny.

Tak było swobodnie, dobrze, tak jakoś swojsko — zapomniałam o tem, że właściwie jestem tam intruzem, który się wcisnął nieproszony, niewolany...

Coś mi się zaczynało marzyć... Zdawało mi się nawet, że on jakoś inaczej niż zwykle na mnie spoglądał. Naturalnie, zdawało mi się to tylko, bo skądżeby...

Po przyjściu do mego samotnego pokoju, rozplotłam włosy... Wiem, że włosy mam piękne — to jedyna moja ozdoba, ten złocisty, królewski płaszcz Loreley z bajki... Nie obcięłabym też tych włosów za nic...

Kiedy byłam małą dziewczyną, chowałam się nieraz w jakimś kątku i rozplatałam włosy... Marzyłam wówczas, że jestem tak ładną, jak moja najstarsza siostra Marylka, albo kuzynka Muszka Żuczkowska, marzyłam, że mnie wszyscy podziwiają, chwalą, całują, że jestem bardzo szczęśliwa... Nazywałam to bawić się w królewnę...

I dzisiaj mam chwilę taką, że chciałabym zabawić się „w królewnę“ i śnić i marzyć, że jego drogie ręce bawią się mojemi włosami, że na ustach czuję jego usta... Ludwiku! Ludwiku!...

10. lipca.

Ni stąd ni zowąd zaczął mnie pytać o Helę Lidzińską. Dlaczego? Nie znają się przecież wcale i zdaje się nie spotykają nigdzie. Wiem, jak Hela unika znajomości.

Co to za potęga: Uroda! Widział ją na ulicy i pamięta! A mnie zna lat tyle, a gdybym mu się nie przypominała ustawicznie, zapomniałby, że wogóle istnieję na świecie.

— — — — — — — — — — —

Witowtówna, ubrana w jakiś domowy pstry, kretonowy kaftanik, który wcale nie dodawał jej wdzięku — siedziała pochylona nad książką.

Na stole syczał „primus“, a obok leżał bocheneczek chleba i kawałek sera.

Woda gotowała się, kipiała, podrzucała przykrywkę. Wrzątek wylewał się, ale zaczytana dziewczzna nie zwracała na to żadnej uwagi.

Dawniej nie lubiła poezyi, nazywała ją bujaniem w obłokach i przechwalała się tem, że ma umysł ścisły, praktyczny, ale od pewnego czasu zaczęła z upodobaniem czytać wiersze, szukając takich, któreby były przepojone miłosną tęsknotą za niespełnionem szczęściem.

I teraz czytała, a zdawało się jej, że to wypowiada jej własne zbolałe serce.

„Dlaczegóż teraz nie mogę gdzieś z tobą
W zaciszu siedząc wieść cichej rozmowy,
Czemuż nie mogę ująć twoich dłoni,
Na mem ramieniu uczuć twojej głowy?
Czemuż nie mogę podzielić się z tobą
Każdym oddechem, każdym kęsem chleba.
Każdą radością i każdą boleścią
I tylko wiecznie tak tęsknić potrzeba?

Blade, niekształtne usta dziewczyny zadrżały i cichutko powtórzyła pytanie: dlaczego?...

Przysunęła znowu książkę i czytała dalej:

„Serce me smutku owiane żałobą,
Słuchasz w noc cichą, czy kędy nie bije.
We śnie o tobie marząc, serce czyje,
Czy cię nie woła, nie tęskni za tobą...
Nie — nic nie słychać... Tylko smreki szumne
Szumią, za wichrem pochylając czoła.
Próżno wytężasz słuch — nikt cię nie woła
O serce, bądźże ty na skargę za dumne“.

Kornelia podniosła głowę — z brzydkich, rybich jej oczu płynęły łzy wielkie, gorące łzy i spadały na białe karty książki.

Ktoś lekko zapukał do drzwi.

Witowtówna opanowała się w jednej chwili, otarła szybko łzy, a twarz jej momentalnie, jakby u wprawnej aktorki, ułożyła się w fałdy wiecznego wesołego śmiechu.

Zgasiła maszynkę, zamknęła książkę i pobiegła otworzyć drzwi.

— Hela! Ty?! O tej porze? — zawołała zdziwiona.

— Cóż w tem dziwnego? — odparła Hela Lidzińska, wchodząc — Wiesz, że lubię wieczorne przechadzki, a „przyzwoitek“ nie zwykłam prowadzić ze sobą. Ale może przeszkodziłam ci?

— Bynajmniej, zabierałam się właśnie do jedzenia. Proszę cię, siadaj — może wypijesz szklankę herbaty ze mną? Do jedzenia nie zapraszam, bo odgaduję, że jadłaś już kolacyę i to nieco wystawniejszą niż moja.

— Istotnie, jadłam już, ale herbaty napiję się chętnie i sądzę, że mi lepiej smakować będzie, aniżeli ta „wystawna“, jak ją nazywasz, kolacya, przy której nieraz zdawało mi się, że się udławię jakim kęskiem... Brrr! — otrząsnęła się.

Hela zdjęła kapelusz, położyła go na stojącej pod ścianą komódce i usiadła na krześle, odchylając zwyczajem swoim głowę nieco w tył i chwilę trwała tak bez ruchu.

Kornelia mimowolnie zapatrzyła się w nią z podziwem, tak się jej ta Hela wydawała piękną.

W świetle lampy, ciemnobrązowe włosy dziewczyny mieniły się goręcymi połyskami. Ponad nizkiem, o regularnych liniach czołem, przecięte cieniutką zmarszczką, pomiędzy czarnemi brwiami, ciemne oczy gorzały z pod długich czarnych, jedwabistych rzęs, rzucających cień na policzki białe, matowe — bez rumieńca. W białej twarzy tylko drobne usta płonęły świeżością szkarłatnego kwiatu.

Biała cienka batystowa bluzka falowała lekko na szczupłym dziewczęcym, ale okrągło zarysowanym biuście, nozdrza krótkiego, kształtnego nosa drgały chwilami nerwowo, nadając twarzy wyraz trochę przekorny.

— Jakaś ty piękna, Helu!

Hela roześmiała się.

— Co to, komplementy mi mówisz, Kornelko!? Nie po to do ciebie przyszłam. Wiesz moja dzisiejsza wizyta, to pewnie ostatnia pożegnalna przed wyjazdem. Nie czekając końca wakacyi, jadę do wsi,

w której dostałam posadę nauczycielki. Zapoznam się przez lato z wsią, z ludźmi, odetchnę świeżem powietrzem, no i trochę inną atmosferą, niż moja domowa!

— Więc rodzice zgodzili się na twój projekt?

— Mama próbowała oponować, twierdząc, że to „nie wypada", „co ludzie na to powiedzą" i tak dalej, ale ojczym wyjątkowo w tym wypadku stanął po mojej stronie i rozstrzygnął sprawę na moją korzyść. Wytłumaczył mamie, że ostatecznie lepiej, abym siedziała gdzieś na wsi, aniżeli kompromitowała ich tutaj dawaniem lekcyi. Dodał nawet, że odwiedzi mnie w mojej nowej siedzibie. Ta łaskawość niespodziewana zdziwiła mnie mocno, ale bynajmniej nie ucieszyła. Co się pod tem kryje, tego nie wiem, ale, że nic dobrego, to pewno, bo równie on mnie nienawidzi, jak ja jego!

Kornelia wyczuła w Heli chęć do zwierzeń — przywykła ona już zresztą do tego, że znajomi i znajome szukali jej wtedy, kiedy chcieli ulżyć swemu sercu, „wywnętrzyć się".

— Przesadzasz chyba, Helu, gdzieżby on mógł ciebie nienawidzić!...

— O nie! Nie przesadzam. — mówiła Hela, a cieniutka, zaledwie dostrzegalna zmarszczka pomiędzy jej brwiami stała się wyraźniejszą — Nienawidzi mnie, bo wie, że ja go przejrzałam, że czytam mu w oczach całą jego podłość, że nim pogardzam!... O, dopóki on nie wszedł do naszego domu, panowało w nim szczęście i pogoda...

Przez chwilę piły herbatę w milczeniu, Kornelia podsyciła znowu rozmowę pytaniem:

— Twoja matka była podobno bardzo piękną kobietą? No, widać to jeszcze i dzisiaj...

— O! Tak, mama była prześliczną złotowłosą, filigranową laleczką, pełną wdzięku, przymilną i pieszczotliwą... A teraz wygląda ona zupełnie inaczej — cóż z tego, że rysy jeszcze regularne i zgrabna postać, kiedy uleciał gdzieś cały urok, który płynął z serca, prostota, szczerość, naturalność... Teraz ona nietylko maluje włosy, szminkuje twarz i nosi na wszystkich palcach brylantowe pierścionki, ale upo dobniła się do niego, swojego męża, przyjęła od niego ruchy, ton mowy, spojrzenia — wszystko!... Od pierwszej chwili ten wstrętny człowiek steroryzował ją swoim wpływem, a z czasem przerobił zupełnie na swoją modłę... Dawniej mama była inna, zupełnie inna — teraz spogląda na świat jego oczyma, zaraziła się jego skąpstwem, obłudą, podłością... O Kornelko! Ciężko to powiedzieć, ale ja matki mojej teraz kochać ni szanować nie mogę.

Hela urwała, czarne jej oczy przygasły.

— No mów, Helu, opowiadaj — zachęcała Kornelia.

Hela ożywiła się znowu.

— Bywało dawniej wesoło, dobrze, szczęśliwie. Mama śmiała się i szczebiotała przez dzień cały, mnie i ojca kochała, pieściła, a ojciec... on nas obie ubóstwiał i dosłownie na rękach nosił...

Pewnego razu ojciec przyprowadził swego nowego koncypienta, pana Benerta na obiad i zaczęło sie... O! nie był to wówczas taki elegancki, pewny siebie pan, jak teraz — nie, to był bardzo skromny, nadskakująco ugrzeczniony człowiek, który do ojca mojego przemawiał z jakąś niemiłą, pokorną uniżonością, a na matkę rzucał ustawicznie krótkie ukradkowe spojrzenia z pod binokli, które nie miały jeszcze złotej oprawy.

Instynktem właściwym dzieciom i zwierzętom, przeczułam w nim złego człowieka, jadowitego węża, który się wślizgnął do naszego, cichego, domowego raju.

Pamiętam, przyniósł mi pudełko cukierków, nie chciałam wziąć, rzuciłam pudełko na ziemię i cukierki rozsypały się po dywanie.

Ojciec zdziwił się, „dlaczego Hela dzisiaj taka niegrzeczna", ale mama rozgniewała się bardzo i ukarała mnie po raz pierwszy. Za karę nie pozwolono mi siedzieć przy wspólnym stole, musiałam jeść obiad osobno w moim pokoju. Dla tak rozpieszczonego dziecka, jakiem ja wówczas byłam — była to kara surowa i dotkliwa... Nie chciałam nic jeść, nie tknęłam nawet mojej ulubionej leguminy czekoladowej — pamiętam jakby to było dzisiaj, że podano tego dnia na obiad czekoladową leguminę — płakałam tylko, a w dziecinnem mojem sercu zbudziło się złe uczucie nienawiści do tego niemiłego obcego pana, przez którego spotkała mnie kara.

To był początek... Pan Benert zaczął u nas bywać często, bardzo często — czasem przychodził z ojcem, najczęściej jednak wtedy, kiedy ojca w domu nie było...

Coś się u nas zmieniło... Mama bywała jakaś kapryśna, zdenerwowana, niezadowolona, na mnie gniewała się często, bo nie chciałam nigdy przywitać się z panem Benertem, ani przyjmować jego podarunków... Kiedy pewnego razu usiłował mnie pocałować, narobiłam takiego wrzasku, że przybiegli sąsiedzi pytać, co się stało.

Wtedy mama uderzyła mnie — przy nim. A ja, rzecz dziwna, nie rozpłakałam się. Zapanowałam nad bólem fizycznym i poczuciem krzywdy i nie płakałam w jego obecności! Benert dziwnie jakoś popatrzył na mnie, potem uśmiechnął się do mamy, wyszczerzył w uśmiechu swoje obrzydliwe zęby, plombowane złotem i wycedził słodko-jadowitym tonem: „Stanowczo nie mam szczęścia do Heli. Trudno, muszę się pocieszyć". „Hela jest krnąbna, nieznośna — powiedziała mama bardzo ostro — to mój mąż tak ją zepsuł, rozkaprysił! Hela, marsz mi zaraz do swojego pokoju i nie wolno ci dzisiaj z niego wychodzić!" Poszłam bez słowa, bez jednej łzy...

Zrenice Heli rozszerzyły się przez chwilę, jakby zastygły w tem bolesnem rozpamiętywaniu.

— No, a potem?

— A potem zaczęły się pomiędzy moimi rodzicami swary i nieporozumienia. Mama kłóciła się często z ojcem, robiła mu zdaje się jakieś wymówki, których treści naturalnie zrozumieć wówczas nie mogłam. Aż wreszcie raz... Och! Jak to dobrze pamiętam, choć to już tyle lat temu, a jednak żaden szczegół nie ulotnił się z mojej pamięci... Ojciec zapakował swoją dużą skórzaną walizę, którą zwykł był zabierać w podróż, włożył płaszcz podróżny i czapkę, a kiedy był już ubrany, wziął mnie na ręce i całował długo, długo... Potem pocałował mamę w rękę, tak, pamiętam dokładnie — tylko w rękę. „Kiedy wrócisz?" zapytała mama — „Najwyżej za tydzień" — odpowiedział. „Mam dużo ważnych spraw do załatwienia".

W nocy zasypiałam już najspokojniej w mojem łóżku, kiedy nagle obudziłam się... Posłyszałam, że ktoś otwiera kluczem drzwi od przedpokoju. „Tatuś! — to była pierwsza myśl moja — przecież tatuś tylko ma klucz od zatrzasku!" Chciałam się już zerwać, wybiedz naprzeciw, tak jak to nieraz czyniłam, ale coś mnie powstrzymało. Przybyły stąpał jakoś nieśmiało, cicho, niepewnie, jakby skradając się. To chyba nie tatuś, to może złodziej. Wszystkie opowiadania niani o złodziejach i rozbójnikach przypomniały mi się... Zatrzęsłam się ze strachu.

O! Tak, po części nie myliłam się... Złodziej był tej nocy w naszym domu, i to najpodlejszy złodziej. Ale za taką kradzież nie karze jeszcze żaden kodeks prawny...

Ojciec mój powrócił niespodzianie, a co się dalej stało, tego mi się teraz domyśleć nietrudno...

Kiedy obudziłam się następnego dnia rano, nie było przy mnie nikogo, ktoby mi pomógł ubrać się... Zaczęłam wołać niani. Po długiej chwili przybiegła nareszcie zapłakana z zapuchniętemi od płaczu oczyma. „Klęknij Helusiu" — powiedziała — i zmów paciorek za tatusia, biedna sierotko"!

— „Ja nie sierotka — zaczęłam się bronić, już ze łzami w oczach — ja mam tatusia i mamusię!"

Niania zaszlochała głośno: „Nie masz już tatusia, nie masz! Tatuś u Bozi..."

Głos odmówił Heli Lidzińskiej posłuszeństwa — urwała znowu.

— Odebrał sobie życie? — szepnęła cicho Kornelia. — Hela skinęła głową.

— Tak, nie mógł przeboleć ciosu, który zdruzgotał jego miłość i ufność, nie mógł znieść hańby! Dawniej, kiedy byłam młodszą, czułam nieraz żal, że tak odszedł, że nie pomyślał o mnie, jedynem swojem dziecku, ale później zrozumiałam go... O mój tatuś! Mój drogi, dobry, biedny tatuś!...

Hela zakryła oczy rękami, tłumione łkanie wstrząsnęło jej piersią.

Kornelia położyła rękę na ramieniu koleżanki. Byłaby chętnie uścisnęła ją, przytuliła, starała się uspokoić serdeczną pieszczotą, ale nie śmiała tego uczynić. Pamiętała, że kiedy jako dziecko narzucała się domownikom z pieszczotami — odsuwano ją niechętnie bez słowa, albo też nawet rzucił ktoś półżartem: „Dajże mi spokój, ty brzydulo".

— Helu! Helu! No cicho, cicho, nie płacz, uspokój się!

Hela odjęła ręce od twarzy i po chwili spokojniej zaczęła:

— O! Co ja przeszłam później, przez te wszystkie lata... Lepiej o tem nie mówić, nie wspominać, nie rozdrażniać się... No, ale teraz nareszcie będę miała własny kawałek chleba! Chciałam coprawda kształcić się, kończyć studya uniwersyteckie, ale dam temu spokój... Na studya potrzeba pieniędzy, a ja nie chcę już dłużej korzystać z łask mojego ojczyma. Mój ojciec, jak mi powiedziano, nie zostawił dla mnie żadnego majątku. Nie robił tak świetnych interesów, jak pan Benert... Matka moja nachwalić się nie może sprytu, pomysłowości, zapobiegliwości swojego męża. Nie wiem, jakie to tam są te jego interesy i nie chcę tego dochodzić, ale instynktownie nie mam do nich zaufania... Nareszcie wyrwę się!

— Chętnie jedziesz na wieś, Helu?

— Wiesz, jeżeli mam zupełnie szczerze odpowiedzieć — to o innej marzyłam dla siebie przyszłości. Gdybym mogła wybierać, inny wybrałabym zawód, jak nauczycielki ludowej. Trochę się boję tej pierwszej próby. Nie znam wsi, warunków życia wiejskiego, chłopów. Mam jednak nadzieję, że przyzwyczaję się, oswoję, polubię moją pracę, pozyskam zaufanie uczniów i ich rodziców, a wówczas będę mogła naprawdę być pożyteczną.

Kornelia uśmiechnęła się.

— Moja Helu, życie przed tobą. Jesteś młoda, piękna, miła, zakochasz się, wyjdziesz za mąż i będziesz nietylko pożyteczna, ale i szczęśliwa.

Hela spojrzała na towarzyszkę swoją jakby zdziwiona.

— Jabym się miała zakochać? Wyjść za mąż? I ty to mówisz, ty, Kornelko, która znasz to straszne przejście, jakie mam poza sobą! Stroiłam człowieka w blaski ideału, a on okazał mi się gorzej niż zbrodniarzem! Zbrodnię mogłabym może zrozumieć, przebaczyć, ale tego... Pomyśl!

— To i cóż z tego? Przyznaję, że przeszłaś zawód wyjątkowo bolesny, że pierwszą miłość twoją zabił cios niezwykle brutalny i ciężki, ale ostatecznie takie rzeczy przechodzą, a młode serce odkwita.

— Chyba już nie moje, Kornelko!

— Dajże spokój, Helu, w „umarłe", „wystygłe" serce dwudziestoletniej dziewczyny stanowczo nie wierzę. To się tylko tak mówi i czasem pisze w powieści, ale w rzeczywistości bywa nieco inaczej.

— Może ty i masz racyę, ja jednak nie myślę o nowej miłości, ani o małżeństwie. Plan życia mam gotowy! Wypełnię je nauką i pracą... dla innych!

— Gadanie! Nauka, praca społeczna, praca dla innych! Pięknie brzmi, ale czy wystarczy? Dlaczego mężczyźni, którzy mają wolne, otwarte, bite drogi do wszelkich rodzajów pracy, szukają poza nią czegoś innego, gonią za użyciem, rozkoszą, za miłością i szczęściem? A kobieta tem więcej! Ona nosi w sobie tęsknotę za miłością, za własnym kątem, który mogłaby podzielić z kimś bliskim... drogim... i chce być kochaną! Czy tobie się wydaje, że to wielce ponętna perspektywa przez całe życie obijać się samej w czterech ścianach, wracać po całodziennej „harówce" do pustego pokoju, „pitrasić" sobie na maszynce i jadać kiepskie obiady na nieświeżych tłuszczach po restauracyach i pensyonatach! Bo tak najczęściej wygląda życie kobiety, która stoi zupełnie sama! Czy ty myślisz, że to tak przyjemnie być, jak ten pies kulawy, o którego się nikt nie troszczy, a każdy go kopnie, jeżeli będzie mu się plątał na drodze...

W samotności, opuszczeniu, nieszczęściu kobieta staje się zwolna zgorzkniałą, złą, zazdrosną! Nie wierz tym, które mówią, że jest inaczej — one kłamią!

Uniosła się, ceglaste rumieńce wystąpiły na jej policzki. Nagle urwała przestraszona... Ciemne, mądre oczy Heli wpatrzyły się w nią uważnie, badawczo. Witowtówna zlękła się, że nieostrożnie uchyliła rąbek swej wesołej, beztroskliwej maski...

Momentalnie zmieniła ton głosu i wyraz twarzy i najzupełniej już swobodnie podjęła:

— Mówię to ot tak naogół, ale jak w każdej regule, tak i w tej istnieją wyjątki... Są bowiem istoty, które się bez tych wszystkich szczęśliwości i sentymentalności miłosno-domowych doskonale obywają i wcale za niemi nie tęsknią. Naprzykład ja... od dzieciństwa już przyzwyczaiłam się, że do czego innego jestem stworzona i dobrze mi z tem. Ale ty, Helu, do wyjątków, zdaje się, nie należysz.

— Może... szepnęła Hela w zamyśleniu.

Rozmowa urwała się. Witowtówna, jakby chciała podkreślić swoje wesołe usposobienie, zaczęła nucić jakąś wesołą piosenkę, sprzątać ze stołu szklanki, łyżeczki i talerzyki.

Hela milczała z oczyma utkwionemi w lekko migocący płomień lampy.

Ocknęła się wreszcie ze swojej zadumy.

— Późno już, czas mi iść do domu.

Wstała i zabierała się do wyjścia, włożyła kapelusz, naciągała rękawiczki, ale robiła to bardzo powoli, jakby ociągając się.

Po chwili zaczęła z pewnem wahaniem w głosie:

— Wiesz Kornelko, chciałam ci jeszcze coś powiedzieć...

Kornelia o mało co nie roześmiała się głośno i nie wykrzyknęła: Oto jest! Mamy to sławne postscriptum kobiece! Najważniejsza rzecz w dopisku... To ona z tem do mnie przyszła!

(Ciąg dalszy nastąpi)

W braku drobnej monety.

W chwili wybuchu wojny zniknęły nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pieniądze złote, srebrne i wszelka moneta drobna, pozostały tylko papiery. Rozpuszczono wieść, że moneta papierowa straci zupełnie, a przynajmniej w znacznej części swą wartość, ludziska zaczęli na gwałt magazynować złoto, srebro, nikiel, a nawet i miedź. Ponadto wojskowość potrzebowała wiele drobnych pieniędzy, w zwykłym obiegu znalazło się ich więc stanowczo zamało, niż tego wymagają normalne stosunki.

Z czasem zwykła moneta drobna zjawiła się w obiegu, brakło tylko srebra, które spokojnie, a bez pożytku spoczywało gdzieś w głębi skrzyń i kufrów. Wreszcie znalazł się ktoś dowcipny i zamieścił w pismach notatkę, że dotychczasowe korony zostaną zupełnie z biegu wycofane, kto więc po oznaczonym terminie chciałby je wymienić, narazi się na stratę.

I stał się cud! W przeciągu kilku dni znalazło się tyle koron srebrnych, iż znów ludzie nie mogli sobie z niemi dać rady, każdy, kto je tylko posiadał, starał się wymienić na papiery bankowe. Przekonano się, że choć wojna trwa już dłuższy czas, one na wartości nic nie straciły. Brakowi drobnej monety zapobieżono wydaniem żelaznych dwudziestohalerzówek i banknotowych dziesięciohalerzówek.

Od chwili puszczenia w obieg papierowych not dwukoronowych srebro zaczęło znowu powoli ginąć z widowni, brak jego nie daje się przecież odczuwać, zwłaszcza od chwili, gdy dla wygody publiczności pozwolono je dzielić na połowy i ćwiartki.

Temu peryodycznemu niknięciu i pojawianiu się srebra i drobnej monety winni są przedewszystkiem niesumienni spekulanci, chcący na tem zrobić dobry interes i szerzący niepokojące wieści, którym daje, niestety, posłuch łatwowierna publiczność.

Obecnie papierowych koron mamy podostatkiem, nie dokucza nam też zupełnie brak srebra, natomiast daje się ogromnie we znaki brak drobnych, zwłaszcza miedzi. Ma temu zapobiedz wydanie żelaznych jedno i dwuhalerzówek.

Na razie, zanim to nastąpi, radzą sobie ludzie, jak mogą. Na dowód tego zamieszczamy w niniejszym numerze odbitkę bonu, mającego wartość dziesięciu halerzy, a wydanego przez jedną z komend w polu. W ten sam sposób postępują i inne władze potrzebujące drobnej monety.

Papierowe pieniądze mają tę dobrą stronę, iż nikt ich zbytnio nie będzie gromadził, tak, jak się to dotąd działo ze srebrem, niklem, a nawet miedzią.



Z frontów bojowych: Zniszczona armata, pozostawiona przez Włochów przy odwrocie.





W braku drobnej monety: Bony dziesięciohalerzowe, wydane przez jedną z komend wojskowych w polu.



Z frontów bojowych: Włoskie działo dalekonośne (niosące 35 kilometrów) zdobyte przez wojska austro-węgierskie.

Z frontów bojowych.

Punkt kulminacyjny toczących się już trzeci rok zapasów światowych przeniósł się obecnie na południe. — Spełzła na niczem ofenzywa rosyjska, a toczące się na wschodnim froncie walki przynoszą Rosyanom tylko nowe ofiary. Ostatni wysiłek rosyjski, siedmiodniowa bitwa pod Narajówką, skończyła się klęską Rosyan. Cel ich — przełamanie frontu i dostanie się do Lwowa i tym razem spełzł na niczem, przynosząc im tylko nieobliczalne straty.

Tak samo na zachodzie ofenzywa angielsko-francuska nad Sommą stanęła na martwym punkcie. Żadne wysiłki, choć okupione olbrzymiemi ofiarami, nie zdołały przełamać linii wojsk niemieckich i nie osiągnęły jakiegokolwiek sukcesu, mającego ważniejsze znaczenie dla przebiegu wojny... Zato na południu rozgrywają się decydujące wydarzenia. Na froncie włoskim toczą się już od dłuższego czasu zacięte walki, których przebieg świadczy wymownie o bezcelowości wysiłków włoskich. Drobne, lokalne ich sukcesy nie stoją w żadnym stosunku do poniesionych ofiar i są tylko przemijającym epizodem. — W każdym razie przebieg tych walk, z których dajemy w dzisiejszym numerze szereg interesujących zdjęć, świadczy, iż kampania włosko-austryacka wchodzi w okres decydujący.

Lecz jeśli na froncie włoskim walki są w pełni rozwoju, to na Bałkanach dobiegają już do zwycięskiego końca. Ostatnie dni zadecydowały właśnie o klęsce Rumunii. — Po wyparciu Rumunów przez wojska austro-węgierskie z Siedmiogrodu, przyszło decydujące zwycięstwo wojsk niemiecko-bułgarskich w Dobrudży. Już zajęcie Konstanzy przez wojska



Z frontów bojowych: Asiago na froncie włoskim po zbombardowaniu przez artyleryę austryacką

bułgarskie, w których szeregach znajdował się także jeden batalion niemiecki, ma zarówno pod względem politycznym, jak i militarnym bardzo doniosłe znaczenie. Konstanza bowiem ma dla Rumunii to samo znaczenie, jak Hamburg dla Niemiec, lub Rotterdam dla Holandyi, a może znaczenie jej dla Rumunii jest jeszcze większe. — Konstanza jest jedynym portem Rumunii, który ma połączenie kolejowe z państwem. Przez Konstanzę jedynie otrzymuje Rumunia cały materyał wojenny.

Rumunia posiada obecnie po utracie Konstanzy dwie linie kolejowe dla komunikacyi z Rosyą. Obie



Z frontów bojowych: Zburzony przez artyleryę włoską dom w Jamjanie.



Król Ferdynand bułgarski na austryackim froncie: Król Ferdynand śledzi przebieg bitwy. Po prawej stronie książę Borys, po lewej arcyksiążę Karol Franciszek Józef



Z frontów bojowych: Zburzone domy w Asiago na froncie włoskim.

te linie jednak w porównaniu z linią kolejową z Konstanzy posiadają znacznie mniejsze znaczenie i nie mogą się z nią pod względem wydatności równać.

Walka o Konstanzę była bardzo zacięta. Nieprzyjaciel stawiał rozpaczliwy opór, zwłaszcza wojska rosyjskie, które składały się z młodszych roczników. Wojska te walczyły z niesłychaną zaciętością, wytrzymując dzielnie nawet ogień artyleryjski. To też w wyrwach ziemnych, spowodowanych wybuchającymi pociskami działowymi, w zdobytych liniach nieprzyjacielskich znaleziono po walce całe

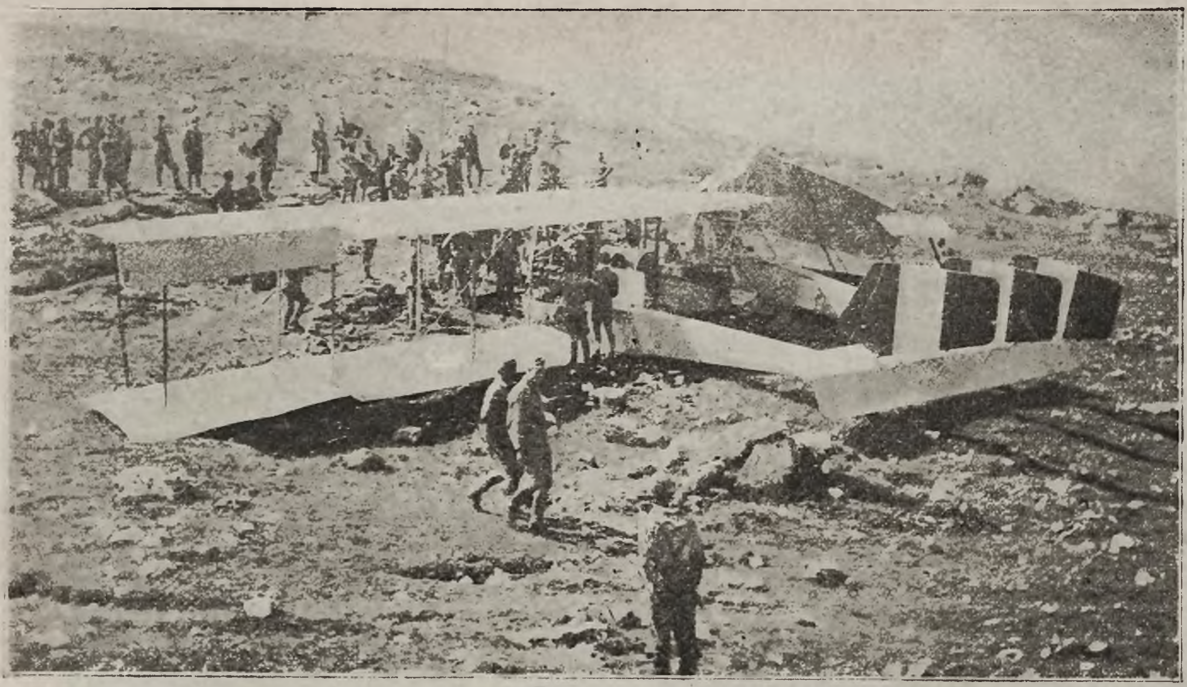


Uszkodzona pociskiem wieża kościelna w Asiago.



Z frontów bojowych:

Zbombardowany kościół w Asiago.



Wojna w powietrzu: Szczątki zestrzelonego aeroplanu włoskiego

masy zwłok, przysypanych ziemią. Z wielkiem uznaniem należy podnieść działalność wojsk tureckich w tych walkach. Wojska tureckie walczyły nadzwyczajnie i im w znacznej części zawdzięczać należy sukcesy, osiągnięte w tych bitwach.

Wedle ostatnich wiadomości, Konstanza w chwili wkroczenia oddziałów konnicy niemieckiej i bułgarskiej, które nastąpiło w niedzielę po południu, była zupełnie pusta. Zdaje się, że Rosyanie przed opuszczeniem Konstanzy uprowadzili całą ludność, będąc widocznie przygotowani na utratę tego miasta.

Rychło jednak przyszły dalsze klęski Rumunów. W trzy dni po wzięciu Konstanzy padła Czernawoda, silna forteca rumuńska. Szereg nowoczesnych fortów otaczał ją szerokiem półkolem na wschodnim brzegu Dunaju. Obrona tego bardzo ważnego pnnktu przynajmniej w zasadzie nie przedstawiała się dla Rumunów beznadziejnie. A jednak tą najważniejszą przeprawą przez Dunaj owładnęły armie sprzymierzone wprost ze zdumiewającą szybkością.



Z frontów bojowych: Fragment uszkodzonego kościoła w Asiago.

Znaczenie wzięcia Czernawody jest pod względem wojskowym o tyle bardzo znaczne, że przedewszystkiem wyklucza wszelkie kontruderzenie Rumuno-Rosyan od strony Dunaju.

Dierżąc w ręku takie przyczółki mostowe, jak Tutrakan, Sylistrya i Czernawoda, wojska niemieckie i bułgarskie panują nad Dunajem, który stracił dla Rumunii znaczenie osłony, stał się zaś bardzo ważnym współczynnikiem operacyj strategicznych i taktycznych wojsk sprzymierzonych.

Wzięcie Czernawody ma przedewszystkiem olbrzymie znaczenie dla przebiegu dalszych operacyi wojennych przeciw Rumunii. Ujawni się to zwłaszcza wówczas, gdy operacye ofenzywne od strony Siedmiogrodu dadzą w rezultacie zepchnięcie wojsk rumuńskich na linię Seretu lub nawet Prutu. Otóż wobec posiadania Czernawody i wielkiego kolana Dunaju tuż pod jego deltą przez wojska sprzymierzone, utrzymanie linii Prutu przez Rumunów i Rosyan staje się prawie niemożliwem.

Z tego punktu widzenia, wzięcie Czernawody jest przygotowaniem do tych wielkich operacyj, które według słusznego przewidywania rosyjskiego polityka wojskowego, pułkownika Szumskiego, doprowadzić mogą nie tylko do zniszczenia Rumunii, ale także do katastrofalnego dla Rosyi zwinięcia południowej flanki jej armii.

Wojna w powietrzu.

Przed wybuchem obecnej wojny nikt nie przypuszczał, że dwie największe zdobycze XX. wieku, łódź podwodna i awiatyka, odegrają tak wybitną rolę w tych światowych zapasach. Łódź podwodna prawie unieruchomiła olbrzymie, z takim nakładem kosztów budowane eskadry wojenne. Największy olbrzym morski jest nieraz bezsilny wobec tego małego podwodnego przeciwnika. Jeszcze większy, niż łódź podwodna, wywarła wpływ na wojnę — żegluga powietrzna. Balony ze sterem i aeroplany stały się dla walczących armii czynnikiem koniecznym, a w skutkach swych nieocenionym. Ukrywane tak starannie ruchy wojsk nie mogą ujść przed czujnem okiem aeroplanu. Napowietrzni wywiadowcy zapuszczają się często w głąb krajów nieprzyjacielskich, aby tam zdobywać cenne dla swych armii tajemnice nieprzyjaciela. Ale nie tylko dla celów wywiadowczych służy aeroplan. Eskadry lotnicze występują także jako samodzielny czynnik walki, tem groźniejszy, że atak ich jest zawsze nieoczekiwany, a obrona trudna.



Z frontów bojowych: Rynek w Asiago po zbombardowaniu.



Z frontów bojowych: Zburzone przez artyleryę austryacką koszary włoskie w Asiago.

wobec przeciwnika, który sieje śmierć i zniszczenie z powietrza...

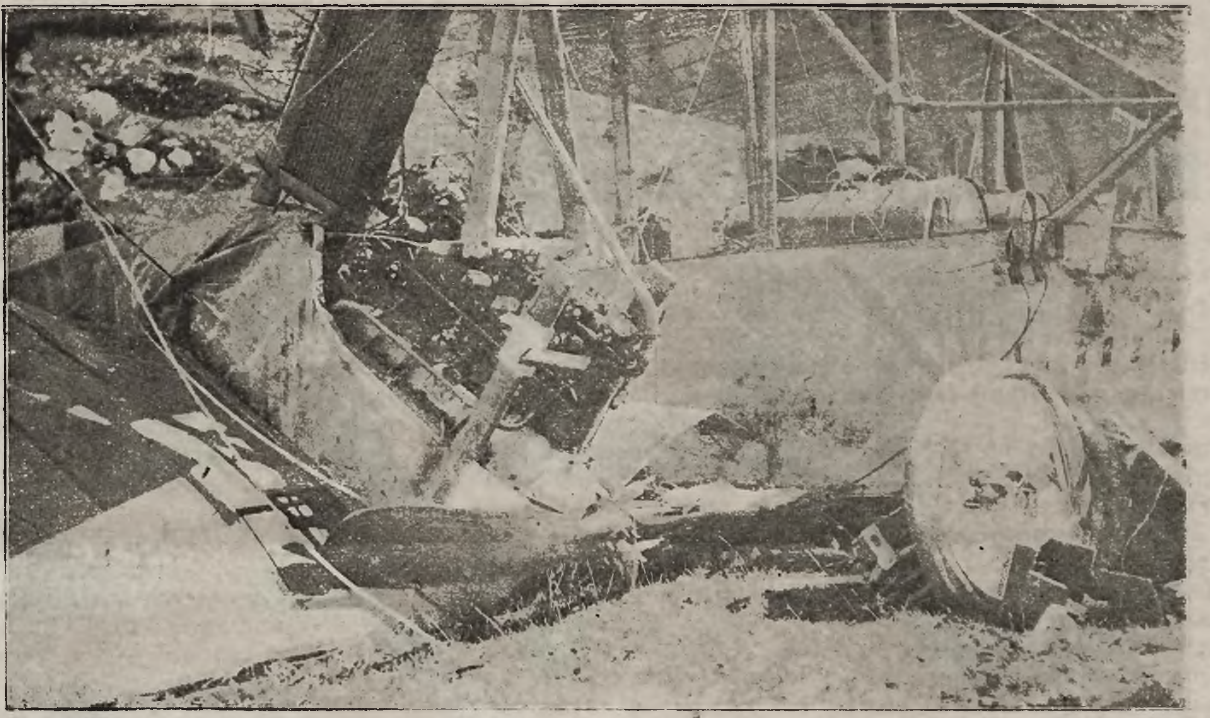
Kroniki obecnej wojny są przepełnione opisami tych wypraw lotniczych... Aeroplany bombardują nie tylko szeregi nieprzyjacielskiej armii, nie tylko nadgraniczne twierdze, ale i miasta położone w głębi kraju...

Zwłaszcza Zeppeliny i ich wyprawy do Anglii krwawo się już zapisały w obecnej wojnie. O rozmiarach tych ataków powietrznych dają pojęcie następujące szczegóły:

Podczas ataku dnia 23. września uszkodzono w Londynie przeszło sto domów. Koło stacyi kolejowej London—Erighton zupełnie zniszczono dziesięć domów jednomieszkaniowych. Regesstreet, pryncypalna ulica handlowa Londynu, została przeważnie zdemolowaną. W południowem przedmieściu zniszczono fabrykę amunicyi.

Podczas ataku 2. października na Maplerstreet zburzono dwadzieścia domów. W Grimsby trafiono w koszary, przyczem zginęło przeszło 400 żołnierzy. Stojący na kotwicy w Humber wielki krążownik został trafiony bombą, przyczem około 60 ludzi zginęło. Dwa inne angielskie okręty wojenne odniosły ciężkie uszkodzenia. W Hull wyrządzono bardzo ciężkie spustoszenia. W Leeds wyrządzono olbrzymie szkody w fabrykach amunicyi i stacyach kolejowych. W porcie Portsmouth zniszczono dwa jachty, a doki ciężko uszkodzono.

Wszystkie armie starają się naturalnie zebezpieczyć przed nieprzyjacielskimi atakami lotniczymi...



Wojna w powietrzu: Rozbite motory w zestrzelonym aeroplanie włoskim.



Wojna w powietrzu: Zestrzelony aeroplan włoski Obok zwłoki lotnika.

Specyalnie skonstruowane armaty i karabiny maszynowe witają gradem żelaza nieprzyjacielskie balony i aeroplany. Zaczyna się fantastyczna, jakby z jakiejś bajki wyjęta walka w powietrzu. Bo gdy na niebie ukażą się nieprzyjacielskie aparaty — na spotkanie tych strasznych gości zrywają się także lotnicy i w przestworzach odpierają ich ataki...

Krwawe żniwo tych walk lotniczych na froncie południowym — zestrzelony aeroplan włoski i zwłoki lotników przedstawiają nasze illustracye.

Król Ferdynand bułgarski na austryackim froncie.

Król Ferdynand bułgarski, wierny sojusznik mocarstw centralnych, którego wojska tak dzielnie wraz z armią niemiecką i turecką walczą w Dobrudży, odwiedził niedawno w towarzystwie swego syna, następcy tronu księcia Borysa, front austryacki, zostający pod naczelną komendą następcy tronu, arcyksięcia Karola Franciszka Józefa.



Wojenna idylla: Niedawni wrogowie przy toalecie.

Dostojny gość, witany w austryackiej kwaterze bardzo serdecznie, zwiedził dokładnie najdalej ku stanowiskom nieprzyjacielskim wysunięte pozycye wojsk sprzymierzonych, informował się o sytuacyi i śledził z zaciekawieniem przebieg walk. Postawa wojsk i ich męstwo zrobiły na królu Ferdynandzie, który niegdyś sam należał do armii austryacko-węgierskiej, jak najlepsze wrażenie, nie szczędził też słów pochwały i rozdzielił przy tej sposobności wiele wysokich odznaczeń za okazane męstwo.

Illustracye, zamieszczone w niniejszym numerze, przedstawiają króla Ferdynanda w uniformie austryackiego marszałka, w chwili rozmowy z jenerałem pułkownikiem Kövessem, oraz podczas śledzenia przebiegu walki. Bułgarski następca tronu, książę Borys, piastuje w armii austryacko węgierskiej godność majora w pułku huzarów imienia swego ojca.



Król Ferdynand bułgarski na austryackim froncie: Król Ferdynand (X) w chwili rozmowy z jen. pułkownikiem Kövessem (XX). Obok austryacki następca tronu, arc. Karol Franciszek Józef (I) i bułgarski następca tronu, książę Borys (II).

JÓZEF LASOŃ.

CZERWONE RABATY...

(Z cyklu: LEGIONY).

III.

Ofenzywa rosyjska, załamawszy się pod Łuckiem, przeniosła się nad Styr i srożyła się na odcinku Legionów.

Sześciokrotne siły rosyjskie, wzmocnione artyleryą, uderzyły na odcinki Legionu; rozpoczęła się przestraszliwa bitwa, Moskale nie szczędząc amunicyi ni ludzi, usiłowali przełamać front.

Wreszcie 7. lipca na rozkaz naczelnej komendy cofnięto się z pozycyi nad Styrem, odwrót zaś osłaniać miały Legiony.

Nastąpił odwrót, w którym walczono o każdą piędź ziemi; trzy doby ustawicznych zmagań się ze ścigającym nieprzyjacielem zakończyły się oparciem się na nowej linii Stochodu.

— — — — — — — — — — — —

Z za lasu szły groźne okrzyki pędzących kozaków, strzały karabinowe mieszały się z szumem wichru. Zachodzące słońce krwawą purpurą pokryło niebo, jak gdyby na krańcach gdzieś olbrzymi wybuchł pożar, który z każdym podmuchem wichru coraz szersze zataczał kręgi.

Ułan ostrogami spiął zdyszanego konia, kierując bieg jego przez obszerną polankę, dochodzącą do wsi, chroniąc się przed pościgiem.

Pod bolesnem uderzeniem ostrogi koń zerwał się do szybkiego biegu, przeskoczył ciernistе zarośla i pogalopował przez polankę. Kopyta końskie zapadały się coraz bardziej w torfowisko, wreszcie podbiegłszy jeszcze kilka kroków natrafiły na mulasty podkład, który już przy pierwszem uderzeniu kopyt rozstąpił się pod nimi, a koń zapadł się w mule po przedudzia.

— Psiakrew! — zaklął ułan — no Kaśka!

Uczuł, jak ostatkiem sił koń usiłował wyrwać się z tej matni, wydostać kopyta na wierzch, ale za każdem szarpnięciem coraz głębiej szedł na dno bezdennej przepaści mułu.

Zeskoczył z konia, zapadając po kolana w muł. Koń szarpiąc się, mimo olbrzymich wysiłków, nie mógł wydostać się na wierzch.

Ułan, zajęty koniem, nie zauważył, że z pod lasu wysunęło się kilku kozaków; dopiero gdy zagrzmiała salwa karabinowa, a kule ze świstem przeleciały ponad jego głową, zwrócił głowę w stronę lasu, dostrzegając Moskali.

— Poddajsia! — krzyknęli chórem.

W odpowiedzi zmierzył w ich stronę z karabinu, wystrzelał pospiesznie cały ładunek i nabiwszy powtórnie karabin, przylgnął ciałem do bagniska.

Kozacy zeszli z koni i rozpoczęli pościg pieszy za ułanem. Czołgając się, jak żółw, przez bagno, pomiędzy kępkami traw, wychylał ostrożnie głowę, chcąc zobaczyć nieprzyjaciół.

Szli ostrożnie śladami kopyt końskich; nagle koń zadrżał trwożliwie, bagnisko coraz bardziej wciągało go do wnętrza. Ułan, usłyszawszy rżenie konia, a nie mogąc się wstrzymać od porywu serca, wychylił głowę, szukając oczyma miejsca, w którem pozostawił konia.

Dojrzał łeb koński wyciągnięty do góry ponad bagniskiem, cały tułów pogrążony był już w mule.

— Kaśka! Biedna Kaśka! — szepnął ze wzruszeniem ułan — niema dla niej ratunku.

Koń rżał ustawicznie, ułan wsłuchiwał się w te przeciągłe jęki końskie, rozczulił się do łez.

Wychylając głowę ponad sitowia, aby dojrzeć znikającą głowę wiernego przyjaciela, wystawił ją na celność strzałów kozackich, którzy zasypali go kulami. Jedna z kul zraniła go w ramię. Sycząc z bolu ukrył się pomiędzy trawą, wyszukując dogodne przejście.

Natrafił na twardszą glebę, szybko począł się czołgać, widząc ratunek w głębokim borze, w którym można się było ukryć bezpiecznie, przedrzeć do swoich. Rana sączyła się krwią, piekła przeogromnie, tem bardziej, że przez podarty od kuli rękaw brudna ciecz doszła do rany, rozpalając ją gorączkowo.

— Ocalonym — szepnął z zadowoleniem — trzeba się tylko ukryć przed pogonią; przez noc muszę dotrzeć do pułku.

Kozacy dotarli do miejca, gdzie koń jego zapadł się w bagno, narady szybko odbyli i powrócili do swych koni. Widział, jak okrążać poczęli polankę, widocznem było, że chcą odciąć drogę, dostać żywego do niewoli.

Wiadomo było w szeregach Legionu, że po stronie rosyjskiej wydano rozkaz do żołnierzy, aby Legionistów żywych brać do niewoli, widocznie mieli zamiar uciekającego ułana schwytać i odstawić jako jeńca.

W kurtkę wytarł zawalany karabin, opatrzył zamek i mimo zmęczenia po tych przejściach, wygłodniały i opadły z sił, począł przemykać się pomiędzy zaroślami lasu.

Nagle przystanął. Zdawało mu się, że ktoś krzyknął boleśnie, wzywał pomocy. Jakiś ochrypły głos, rozpaczą tchnący rozległ się ze strony, skąd szły patrole kozackie. Był to głos jakiegoś towarzysza broni, może konającego, może zapadłego w bagnisko, wzywający pomocy.

Nie namyślał się długo. Zawrócił z wytkniętej poprzednio drogi, idąc za głosem, jękiem rozpaczliwym. Nie zrażał go tętent pędzących koni, nale żało za wszelką cenę uratować życie kolegi, tonącego gdzieś w bagnie, czy też konającego z upływu krwi.

Idąc za głosem natrafił na ślady wydeptane na piasku; pod jednym z drzew leżała jakaś postać żołnierska; ranny, cierpiąc ogromnie, wydawał przeciągłe jęki. Ułan, pomimo zmęczenia, szybko podbiegł do rannego, a podnosząc mu głowę do góry, usiłował wlać w gardło kilka kropli rumu, który miał w manierce, przewieszonej przez ramię.

— Obywatelu — szepnął ranny — pościg, uciekajmy...

— Gdzieście ranni?

— W brzuch!

— Ciężka rana?

— Boli... boli...

— Cicho! Tu podchodzą patrole rosyjskie... kozacy... Trzeba nam się ukryć przed nimi, inaczej zginiemy.

— Boli...

— Opatrzę wam ranę! — zwrócił się ułan do żołnierza — tylko chwilkę cierpliwości.

Wyciągnął z kieszeni bandaż, przygotował, poczem zranione miejsce, silnie krwawiące, obtarł strzępem urwanej koszuli, zakładając opatrunek.

— Możecie iść? — spytał po opatrzeniu rany.

— Spróbuję, może podołam.

Podźwignięty ramieniem kolegi, powstał. Rana dokuczała, targała nerwami. Ale opanował ból, zacisnął zęby, próbując postąpić parę kroków.

— Powoli dojdę! — zwrócił się do ułana — Tylko podajcie mi karabin i plecak.

— Na cóż wam dźwigać?

— Karabinem będę się podpierać, a kto wie, czy się nam nie przyda w drodze. Zawsześ dwa karabiny mieć, to więcej jak jeden!

— Juści prawda! Ale plecak zbyteczny! Osłabiony jesteście upływem krwi, nie udźwigniecie! Lepiej ratować życie — niż plecak!

— Mam tam drogie pamiątki! — cichym głosem odpowiedział — Relikwie święte, które do grobu trzeba zabrać; całej wojny pamiątki, żal mi porzucać!

— Może się uda coś wyrzucić z niego.

— Zobaczcie!

Ułan rozwiązał sznurek plecaka, zanurzył rękę w środek, gorączkowo przerzucając zawartość. — Były tam obok przerozmaitych żołnierskich drobnostek, tomik poezyi Słowackiego, podręcznik taktyki, odłamki metalowe pocisków armatnich.

— Po cóż to żelaziwo, to trzeba wyrzucić! — wskazując na pozbierane odłamki, zaproponował ułan.

— Nie, nie! To pamiątka!

— Jaka?

— Kolegę, serdecznego druha zabił! Jeszcze na nim ślady krwi, ślady mąk druha!

— To książki?

— Nie! To osłoda wojennego życia! Cobym bez nich robił?

Pokręcił ułan głową, wreszcie z irytacyą związał plecak, narzucił go na plecy, przemawiając do żołnierza:

— Poniose, póki będę mógł; ale jeśliby coś w drodze wypadło, rzucę!

— Wówczas ja poniosę!

Nieprzerwanym echem szła palba karabinów, jęczał las od huku armat, bitwa pod wieczór wzmagała się. Legiony, cofając się z pozycyi, krok po kroku następującego wroga powstrzymywały, przedzierając jego szeregi. Runęła lawa żołnierstwa rosyjskiego na opuszczone okopy, puściły się w pościg oddziały kozackie, ciągnąc za sobą lekką artyleryę; piechota z karabinami maszynowymi następowała, pod wieczór drogi osaczone były przez nieprzyjaciela. Cofać się trzeba było przez bagna, przedzierać przez gąszcza i lasy i otaczającego wroga.

— Znacie drogę? — zapytał ranny.

— Dążymy na Maniewicze! Droga już zajęta przez kozaków, jesteśmy w pośrodku wroga. Musimy w ciągu nocy dojść bokiem do Maniewicz i tam przyłączyć się do pierwszego lepszego od działu.

— Ktoś przez las pędzi! — zauważył ranny — a ja nie mam sił iść dalej.

— Zostańcie tutaj w gąszczu! — odparł ułan — Ja zaś przybliżę się do drogi i zobaczę kto jedzie. Może to nasza patrol ułańska.

Usadowił rannego pod drzewem, zakrytem gąszczami jałowca, podkładając mu plecak, aby uchronić od wilgoci bagnistego podkładu lasu.

— Siedźcie cicho, gdybyście słyszeli strzały, to znak, żem napadnięty przez Moskali i starajcie się sam dotrzeć do Maniewicz.

— A wy?

— Będę się starał przedewszystkiem uniknąć zetknięcia z patrolą, jeśli to rosyjska. Ale mogą mnie spostrzedz, dla tego w razie strzałów zmykać!

— Dobrze! Nabijcie mi jeszcze karabin, no i nałóżcie bagnet na broń! Ze mną to samo może być! Trzeba życie drogo sprzedać!

Tętent koni coraz wyraźniej dawał się słyszeć. Po głosie nawoływań, przekleństw dzikich, poznali nieprzyjaciół. Ułan przypadł ku ziemi, podczołgał się cokolwiek w stronę drogi.

Nagle padł strzał.

Dojrzał, jak kozacy zeskoczyli z koni i przypadli ku ziemi, kierując ogień karabinów na przykurczoną pod drzewem postać rannego Legionisty. — Strzał był przypadkowy, drżącą ręką rannego wywołany. Przygotował karabin na przypadek napadnięcia przez kozaków, gorączką zdenerwowane palce pociągły za cyngiel, zwracając uwagę nadjeżdżających kozaków.

— Poddajsia! — krzyknęli groźnie, dojrzawszy skrytego za drzewem żołnierza.

— Nigdy! Polski żołnierz nigdy się nie pod daje!

W odpowiedzi zagrzmiała salwa kilku karabinów, ranny bezustannie oddawał strzały. Ułan obserwował przez chwilę zaciekłą walkę, namyślając się nad sposobem ratowania kolegi. Dostrzegł, jak kozacy, rozsuwając się w tyralierce, coraz większem kołem zbliżać się do niego poczęli.

Uchwycił silnie karabin, zmierzył z niego do pierwszego z brzegu kozaka. Strzał był celny, kozak, krzyknąwszy przeraźliwie, rozciągnął się krzyżem na ziemi.

— Pierwszy pluton w tyraliery! — syknął wściekle ułan — Drugi pluton bagnet na broń!

Ładunek pięciu naboi równocześnie wystrzelał wraz z słowami komendy. Wywarło to nadzwyczajny skutek. Patrol rosyjska, przekonana o przewadze przeciwnika, wycofała się w popłochu, pozostawiając rannego kozaka.

— Ułan! — huknął żołnierz — gdzie jesteście?

— Tu — odparł — musimy szybko uciekać! Będziemy mieli zaraz z całą sotnią do czynienia. Zle się stało, żeście strzelili!

— Karabin mi wypalił! Ręka zadrżała na cynglu!

— Słyszycie! Kozacy!

— Nie ujdziemy im! — szeptem odparł ułan — Godzina nasza wybiła. Będziemy się bić!

Zmarszczył czoło posępnie, energicznie nabijając karabin. Piechur przypadł ku ziemi, zaciskając zęby z bólu, przyrzucał naboje z plecaka, roztworzył torby nabojowe.

— Powstrzymamy ich ogniem, póki naboi starczy! A potem dziej się wola nieba.

— Dużo macie naboi? — spytał ułan.

— Siedmdziesiąt!

— Ja przeszło sto! Na sotnię wystarczy!

— Nie damy rady!

— To się wie! Ale się nie poddamy!

— Nie! — odparł ranny — Żywych nas nie wezmą!

Słyszeli coraz bliżej idące okrzyki, kozacy dotarli do miejsca, gdzie pozostał ranny kozak. Sześciu z nich zsiadło z koni szukając śladów, którymi zdążali przeciwnicy.

— Widzisz tę grupę stojących kozaków przy rannym koledze? — spytał ułan.

— Widzę! — szepnął cicho — Promienie księżyca oświeciły ich; dobry cel!

— W tę grupę strzelać! — rozkazującą odparł ułan.

Zagrzmiała salwa dwu karabinów, pół sotni kozackiej rozbiegło się po lesie, odpowiadając strza-

łami i podsuwać się poczęli pod ukrytych za wzgórzem piaszczystem.

— Dwóch ich tylko! — ktoś po rosyjsku krzyknął.

Ułan podsunął pod siebie dobytą szablę, szepcząc w duchu:

— To na ostatni ratunek!

— Jesteśmy okrążeni — zauważył piechur — już strzały z flanki nas rażą. Zdaje się, żem ranny w nogę. Czuję ból!

— Poddajsia! — rozległ się krzyk kozaków, okrążających Legionistów.

W odpowiedzi znów salwa dwu karabinów.

— Jezu! — krzyknął nagle piechur i wypuścił z rąk karabin.

Struga gorącej krwi oblała twarz ułana, zalała mu oczy. Błyskawicznie je przetarł, kierując wzrok wokół, skąd dochodzić poczęły groźne okrzyki kozaków. Dojrzał ich, pędzących w jego stronę, szybko zerwał się z ziemi i pochwycił leżącą szablę. Nie zdołał nabić powtórnie karabinu, oparł się przeto o sosnę, szukając zasłony. Wyciągnięta szabla groźnie błyszczała, wyczekując na pędzących kozaków.

— Poddajsia! — krzyknęli, nacierając wściekle na niego.

Otoczyło go kilku kozaków, on z wściekłością uderzył szablą, machając nią zawzięcie.

— Poddajsia!

— Niech żyje Polska! — ciężko ranny ułan wypuścił szablę z dłoni i runął na ziemię.

Wbiły się w niego piki kozackie, pocięły szable ciało na części. Spływała krew obficie na czerwone rabaty, a z za rabatów, pociętych szablami, wypełzł woreczek z relikwią, którą na piersiach nosił — ziemią z mogiły brata.

Sięgnęła ręka kozacka po tę relikwię, sądząc, że woreczek pieniędzmi wypchany, a kiedy dojrzał szary piasek mogilny, zaklął z wściekłością:

— Te czorty sokoliki talizmany noszą!

— — — — — — — — — — —

I na drogach odwrotu napotkano na posiekane w strzępy ciało polskiego ułana, na którem czerwieniły się rabaty, świeżą krwią zlane, za które walczył i padł.

Czerwone ułańskie rabaty...

Z tygodnia.

Sprawy polskie.

Kursa administracyjne w Królestwie Polskiem. W oczekiwaniu państwa polskiego prasa Warszawy i Królestwa Polskiego, jak zaznacza poznański „Kraj“, rozwodzi się o tej nowej erze życia narodu polskiego w artykułach, ożywionych nadzieją i wykazujących, że tamtejsze społeczeństwo z energią zdwojoną zabiera się do czynności około ukształtowania stosunków wewnętrznych przyszłego państwa polskiego. Prasa nie zapoznaje trudności urządzenia wewnętrznego państwa polskiego, więc tem goręcej zachęca do uczenia się na kursach administracyjnych, niebawem rozpoczynających się z poręki jenerał gubernatora warszawskiego Beselera przy uniwersytecie i przy administracyach Warszawy i Łodzi oraz innych powiatowych.

O kursach tych pisma warszawskie zamieszczają następujące zawiadomienie:

„Pod przewodnictwem hr. Lerchenfelda utworzył się komitet, który zajmuje się organizacyą kursów dla urzędników wyższych przy uniwersytecie warszawskim. Oprócz p. radcy Dziembowskiego, który bierze udział w charakterze urzędowym, należą do komitetu przedstawiciele najważniejszych organizacyi krajowych, mianowicie p. p.: mecenas Bukowiecki, Chmielewski, ks. prałat Chełmicki, Zygmunt Chrzanowski, prof. Łyskowski, dyr. Miklaszewski, Franciszek ks. Radziwiłł, Adam hr. Ronikier, Antoni Wieniawski. Ułożono już szczegółowy program wykładów, który niebawem będzie ogłoszony, po ostatecznem ustaleniu listy docentów.. Na kursa zgłaszać się mogą również obywatele Królestwa Polskiego, zamieszkali w obrębie okupacyi austryackiej. Po ogłoszeniu szczegółowego programu wykładów, przyjmowane będą również zgłoszenia na poszczególne wykłady za skromną opłatą. W pierwszym okresie, obejmującym czas od dnia 15. listopada do 20. grudnia, wykładana będzie część ogólna; w okresie drugim, od 10. stycznia do pierwszych dni marca, będą przedstawione szczegółowe zasady przedmiotów, objętych programem kursów. Czas trwania kursów ustalono w sposób powyższy, aby umożliwić sferom ziemiańskim korzystanie z wykładów“.

Znamienna odezwa. „Klub Państwowowców Polski“, głośny w ostatnich czasach z urządzonych w Warszawie wieców niepodległościowych, opublikował w warszawskim „Gońcu“ następującą odezwę:

„W ciągu olbrzymiej wojny światowej Legiony, walczące przeciw Rosyi, były jedynym ważkim objawem czynnych usiłowań narodu polskiego, jedynym świadectwem jego żywotności politycznej i dowodem dążności niepodległościowych. Od pierwszej chwili małoduszną bierność oraz mniej lub więcej świadome moskalofilstwo w agitacyi swej przeciw organizacyom strzeleckim i przeciw Legionom wysuwały konieczność gwarancyi i obłudne hasła maksymalizmu, uderzające w środki kompromisowe, które były i są jedyną możliwą formą czynu narodowego. Pod temi hasłami rozwiązywano Legion wschodnio galicyjski, pod temi również nie przestawano prowadzić destrukcyjnej roboty, która miała zniweczyć narodowy czyn Legionów i utrzymać społeczeństwo w trzęsawisku biernej neutralności. Dzisiaj rozbrzmiewają ponownie te same hasła, a powtarzają je pewne grupy niepodległościowe, które w pierwszym okresie wojny piętnowały je z pogardą, jako objawy nędzy moralnej i moskalofilskiej intrygi. Grupy te wydały odezwę, w której domagają się rozwiązania istniejącej organizacyi wojskowej, w chwili, gdy ona otrzymała niedawno szersze ramy pod postacią „Polskiego Korpusu posiłkowego“.

Dobrowolna likwidacya Legionów może tylko zniechęcić do sprawy armii polskiej oba państwa centralne, a bez ich zgody i czynnej pomocy stworzenie tej armii jest nie do pomyślenia. Z najprostszych względów technicznych utrzymanie istniejących formacyi legionowych jest konieczne przy organizacyi armii.

Wreszcie dla świadomości zbiorowej upadek Legionów byłby decydującą moralną klęską wszystkich stronników polskiego czynu zbrojnego, walki z odwiecznym wrogiem, a oczywistą wygraną zwolenników neutralnej bierności lub moskalofilstwa(!) Ta klęska przesądziłaby o negatywnym stosunku naszego ogółu do armii polskiej, stałaby się dla niej zabójczym ciosem zarówno w oczach miarodajnych czynników zewnętrznych, jak i w świadomości naszego społeczeństwa.

Klub Państwowowców Polskich, którego usilnem staraniem jest zdobycie państwa i armii jeszcze podczas obecnej wojny, wyraża stanowcze przekonanie, że dopóki tej armii niema, dopóki jej jedynym zawiązkiem są Legiony, dotąd nie należy, nie wolno tego zawiązku osłabiać lub rozprzęgać.“

Przymusowe zaciągi robotników w okupacyi niemieckiej Królestwa Polskiego. Prezydent policyi niemieckiej w Warszawie w dopełnieniu znanych już rozporządzeń, mających na celu zwalczanie „wstrętu do pracy“ wśród ludności, zawiadomił magistrat warszawski, że dekretem warszawskiego generał-gubernatorstwa nakazany został obecnie zaciąg przymusowy sił robotniczych dla zarządu wojskowego, oraz dla Niemiec.

Na widowni politycznej.

Socyaliści francuscy za wojną! Jak donoszą z Paryża, odbyło się tam jeneralne zgromadzenie socyalistycznego stronnictwa radykalnego, które po raz pierwszy od wybuchu wojny się zebrało. Przyjęło ono rezolucyę z wyrazami pozdrowienia dla armii i narodu i oświadczającą, że stronnictwo odrzuca wszelki pokój, któryby nie przywrócił nietykalności praw Francyi i małych narodów i któryby nie oddał Francyi z powrotem wyrwanych jej obszarów, a krajom nie zapewnił bezpieczeństwą ich granic.

Nowy list pasterski arcybiskupa belgijskiego Merciera. „Münch. N. Nachrichten“ donoszą, że kardynał Mercier, arcybiskup z Mechlina w Belgii, głośny z swych zatargów z władzami niemieckiemi, wystosował nowy list pasterski, jeszcze bardziej tendencyjny, aniżeli pierwszy list wydany przez niego. List ten zawiera doniesienia o rzekomych masakrach w Armenii, oraz modlitwę do anioła-stróża koalicyi. W liście tym znajduje się między innemi następujące zdanie: „Wznosimy też modły za nieszczęśliwą Polskę, która z powodu Niemiec nie może otrzymać żywności z Ameryki“.

Wymiana jeńców cywilnych oraz zakładników. Jak donosi petersburska „Sprawa polska“, na mocy układu z państwami nieprzyjacielskiemi, ministerstwo spraw zagranicznych ułożyło zasady wymiany jeńców cywilnych i zakładników, uprowadzonych przez wojsko. A mianowicie:

Zakładnicy w ścisłem znaczeniu i jeńcy, zabrani przez wojska obu stron mają być niezwłocznie wolni z wyjątkiem: a) osób wskazanych w § 13 zbioru praw i zwyczajów wojny lądowej; b) osób, które muszą być zatrzymane dla ważnych względów wojny; c) mężczyzn w wieku od 16 do 50—55 lat, zdatnych do służby wojskowej.

Osoby, mające prawo powrotu, ale nie życzące sobie korzystać z tego prawa, nie mogą być zmuszone do powrotu.

Organy dyplomatyczne i konsularne, których opiece osoby wskazane podlegają, mają dozór nad wykonaniem tego układu.

Osoby cywilne, mieszkające w zajętej przez nieprzyjacielskie wojska ziemi, mają prawo porzucić ją, aby się przenieść do niezajętej części swego państwa.

Układ powyższy zachowuje swą moc na cały czas trwania wojny. Ministerstwa porozumiewają się teraz co do terminu, kiedy ma wejść w wykonanie układ powyższy.

Kalendarzyk.

25. października. Zajęcie przez wojska sprzymierzone węzła kolejowego i strategicznego Czernawoda.

28. października. Otwarcie pierwszej kuchni wojennej w Krakowie.

29. października. Mianowanie dra Koerbera prezydentem nowego gabinetu.

Kronika tygodniowa.

Czytając zakończenie poprzedniej kroniki o owym jegomościu, którego pociągnięto do odpowiedzialności za zabicie Zająca w zakazanym czasie, pomyślał sobie zapewne niejeden z Czytelników, że autor, nie mając czem zapchać dziury, wynalazł sobie stary dowcip i puścił go w kurs.

Tak jednak nie było. Kto tak sądził, był w błędzie, anegdotka owa stanowiła bowiem tylko początek właściwy aktualnej a prawdziwej historyi z ostatnich czasów, zostających pod znakiem różnego rodzaju kart chlebowych, cukrowych, kawowych, tłuszczowych i jakie tam jeszcze nastąpią. Niestety, dalszy jej ciąg padł ofiarą bezwzględności pana metrampaża, na którego już nieraz narzekałem i, da Pan Bóg, nieraz jeszcze będę musiał narzekać.

Co się jednak stało, odstać się już nie może, by źle naprawić, dokończenie umieszczam teraz na początku kroniki, a tutaj pan metrampaż jest już bezsilny!

Otóż, rzecz tak się miała. Do jednego z Urzędów parafialnych, gdzie i kiedy, to już mniejsza, w każdym razie rzecz dzieje się za naszych czasów, zgłasza się młoda para, mająca zamiar zawrzeć związek małżeński. — Ksiądz proboszcz, po dopełnieniu wszelkich formalności, jakie w tym wypadku przepisuje prawo kanoniczne, to jest po wyegzaminowaniu obojga nowożeńców, przystąpił do zbadania ich dokumentów. — Przeglądnąwszy je dokładnie, oświadczył, poprawiając okulary:

— Bardzo to ładnie, że się macie, moi drodzy, ku sobie, ale ja mimo to ślubu dać wam nie mogę!

— Dlaczego? — zapytał przestraszony młodzian.

— Bo papiery nie są w porządku!

— Papiery?... Są przecież metryki, jest uwolnienie moje z wojska, pozwolenie rodziców narzeczonej...

— Tak jest! Brakuje jednak najważniejszego dokumentu!

— Najważniejszego? — (zbaraniał już zupełnie) — Mianowicie?

— Mianowicie karty tłuszczowej!

— Karty tłuszczowej?!

Tu już oboje narzeczeni popatrzyli na siebie, nie rozumiejąc, czego ksiądz od nich żąda, ten zaś ciągnął dalej:

— Tak! Karty tłuszczowej! Narzeczona nazywa się Katarzyna Smalec, a pan wie, że na podstawie rozporządzenia władz wyższych pobieranie wszelakich tłuszczów dozwolonem jest tylko za okazaniem oryginalnej karty tłuszczowej...

Jak sprawę załatwiono, tego nie wiem, o całem zajściu wspominam zaś jedynie z obowiązku kronikarskiego, aby potomność wiedziała, ile kłopotu mieliśmy i mamy w czasie wojennym z owemi różnorodnemi kartami.

Ot, nie tak dawno temu zgłosił się do mnie pewien pan — ludzie mają do mnie ogromne zaufanie, dowodem tego jejmość, która prosiła kronikarza o podanie jej najlepszego sposobu kiszenia kapusty — z zapytaniem, czy nie będzie miał z tego powodu kłopotów, iż, choć nie posiada karty cukrowej, stwierdzili u niego lekarze w wysokim stopniu rozwiniętą cukrzycę. Tak daleko wiadomości moje nie sięgają, wysłałem go do Centralnego Biura rozdawnictwa kart wszelakich, gdzie nie odmówią mu wyjaśnienia.

A co to dopiero będzie po zaprowadzeniu dalszej seryi kart, w najbliższej pono przyszłości, na mięso, jaja, mleko i t. d. Każdy obywatel, wybierając się z domu do miasta, będzie musiał nosić osobną tekę z różnemi kartkami, jeden z pomysłowych krawców przygotowuje nawet specyalnego kroju surduty i kamizelki, zaopatrzone w cały szereg kieszonek na ich pomieszczenie.

Rodzaj męski, dotąd mało mający kłopotów z modami, będzie miał więc nową modę aprowizacyjną lub kartkową (nazwy dotąd nie ustalono), zrówna się więc z rodzajem żeńskim, który, pomimo wojny i nawoływań do oszczędności pod tym względem, nie zrywa przecież z tradycyą i, powiedzmy grzecznie, nieraz dochodzi do absurdów, ściągając, bardzo zresztą słusznie, na się oburzenie ludzi, trzeźwo na świat patrzących i bolejących nad tem, że nie dzieje się u nas tak, jak się dziać powinno.

Dowodem tego list, jaki onegdaj otrzymałem. Treść jego jest następująca:

„Kochany Kronikarzu!

Nie przypuszczałem, że pisząc do Ciebie w sprawie letniej maskarady naszych „aniołów", jeszcze raz będę zmuszony powrócić do tak nieaktualnego, jakby się zdawało, podczas wojny tematu, jak moda... Niestety, okazało się i w obecnym jesienno-zimowym sezonie, że dla naszych pań jest ona istotnie królową, która drwi nawet z wojny...

Wszystko musiało iść pod komendę Marsa, który, ująwszy w swe ręce rządy we wszystkich dziedzinach życia, zagląda nawet do garnków — wszystko, z wyjątkiem królowej Mody i jej wiernej armii niewieściej! Mars uląkł się widocznie tej potęgi, bo jak dotychczas, z zadziwiającą wprost pokorą znosi najoczywistsze prowokacye Mody, która w tym ciężkim, krytycznym czasie wszystko robi naprzekór wojnie i jej brakom. Bo proszę posłuchać... Coraz więcej daje się odczuwać brak materyałów sukiennych, których też cena wzrosła do niebywałych rozmiarów, więc moda nakazuje niewiastom nosić właśnie jak najszersze (po kilka metrów w obwodzie) spódnice! Brak zupełny skór, więc nasze „anioły" muszą właśnie teraz nosić jak najwyższe buciki, za które płacą po sto i więcej koron. Niema wcale futer, więc dlatego właśnie moda nakazuje strojnisiom rzucać dawne małe futerka na szyję — i zdobywać choćby za najwyższą cenę (po 400 – 500 koron), olbrzymie płachty lisie lub skunksowe...

I Mars, który położył swą ciężką dłoń nawet na rondlach miedzianych i bieliźnie, patrzy spokojnie na to naigrawanie się Mody... Czas już jednak najwyższy, aby, pomimo całej galanteryi dla dam, wypowiedział wreszcie wojnę tej przewrotnej władczyni rodu niewieściego. A sposobność potemu teraz właśnie się nadarza. Trzecia kampania zimowa za pasem, żołnierzy trzeba ciepło odziać, a brak już baranów na kożuszki żołnierskie. Są zato strojne damy z płachtami futrzanemi na ramionach... Jakie to wdzięczne pole dla rekwizycyi! Tem wdzięczniejsze, że nikomu nie przyniesie żadnej szkody. — Każdej z dam można za lisa ofiarować szalik, który lepiej ją osłoni od zimna, niż zwieszające się z fantazyą futro. A wieleż z tych, służących tylko do ozdoby, futer może być ciepłych ubrań dla żołnierzy!

Rzucam tę myśl w nadziei, iż znajdzie należyte uznanie nie tylko w sferach wojskowych, ale i w najszerszych kołach „męczenników" Mody t. j. ojców i mężów".

Ze Szanownym Autorem, który nie jest wcale wrogiem płci nadobnej, czego dowiódł, wstępując w związki małżeńskie, godzę się najzupełniej, sam zresztą nieraz już w kronice o różnych dziwactwach mody wspominałem, wytykając ich niewłaściwość. Spotkał mnie za to kilkakrotnie zarzut, że nie powinienem pchać nosa do interesu, na którym się nie znam, ja przecież nic sobie z tego nie robię i wracam znów do bardzo wdzięcznego tematu. Można mu poświęcić nie jedną, ale kilkanaście kronik i sprawa jeszcze nie byłaby należycie omówioną.

Po otrzymaniu przytoczonego listu, wybrałem się na linię A-B, na studya kostyumologiczne, przez co o mały figiel nie wlazłem w kabałę, spotkała mnie bowiem Weronisia, gdym oglądał się za pewną niewiastą, której szyję ściskał straszliwy boa — prawdziwy *constrictor* — rzeczywiście potwornych kształtów. Po polsku nazwano go słusznie „dusicielem", wydusi bowiem z kieszeni mężowskiej ostatniego halerza. Jakże wyglądałoby, gdyby pani mecenasowa miała mniejszego „dusiciela", niż pani sędzina?!

Otóż, zacna Weronisia, posądzając mnie o najpaskudniejsze rzeczy, zrobiła mi na miejscu małą awanturę na migi, zostawiając sobie libretto do tej małżeńskiej muzyki na później i nie chciała w żaden sposób uwierzyć, że to należy do mych kronikarskich obowiązków, by o wszystkiem przekonać się na własne sowe oczy.

Skonstatowałem więc, że na sto spotkanych niewiast, dziewięćdziesiąt siedm ozdobionych było „dusicielem", pozostałe trzy mają dopiero zamiar zaopatrzyć się w nie i to w najbliższej przyszłości. Naturalista, gdyby chciał dokładnie badać owe okazy, dowiedziałby się o różnych potworach, jakich nie wymyśliła najbujniejsza fantazya bajkopisarza. Widziałem więc lisa, mającego wprawdzie tylko jedną głowę, ale zato ośm nóg i dwa ogony, widziałem dziwne bestye o trzech i czterech głowach i tyluż ogonach, spotkałem się nawet z jakimś iście apokaliptycznym okazem, u którego, tylko z tyłu, naliczyłem aż siedmnaście ogonów! Kuśnierz, u którego zasięgałem fachowych wskazówek, odpowiedział mi, że im taki zwierz zmyślniejszy, tem droższy i tem większym cieszy się pokupem.

Widząc więc damy z jednym, dwoma, trzema aż do siedmnastu ogonów, przypomniałem sobie dawne, lepsze czasy, kiedy to jako symbol dostojeństwa noszono przed różnymi dygnitarzami tureckimi buńczuki, ozdobione końskimi ogonami. Ale jegomość sułtan miał prawo tylko do siedmiu, wielki wezyr do trzech. I nasi hetmani używali buńczuków, wielki miał prawo do dwu końskich ogonów, polny tylko do jednego. Dzisiejsze niewiasty wyrobiły sobie inne prawa, ilość ogonków „dusiciela" nie stoi w żadnym stosunku z ich godnością, powiedziałbym, dzieje się nawet odwrotnie, im ogonków więcej, tem powagi mniej.

Do garnituru należy jeszcze zarękawek, który w ubiegłym roku dochodził do takich rozmiarów, że zupełnie spokojnie można było w jego wnętrzu pomieścić korzec ziemniaków, troskliwa o swe pociechy mama, mogła bez obawy nosić w nim na spacer dwoje nieletnich dziatek. Dotąd, być może z powodu deszczowej pory, zarękawki się jeszcze nie pojawiły, nie mogę więc powiedzieć, jakich będą kształtów i wielkości.

Według opinii znawców taki „dusiciel" ma za zadanie chronić szyję i górną część piersi od zimna, tymczasem sprawdziłem na własne oczy, że zakłada się go w ten sposób, by nie zakrywał wycięcia stanika, dochodzącego nieraz aż do... niemożliwości, bo to należy do szyku. Boa więc takie, jakiego dziś panie używają, nie służy do ochrony przed złośliwymi wpływami atmosfery, lecz jedynie do fanfaronady.

Ma więc Autor listu zupełną słuszność, proponując rekwizycyę owych futer i zastąpienie ich zwykłymi szalikami, które bardziej odpowiadają celowi i, co najważniejsze, daleko mniej kosztują. Odetchnęliby wówczas biedni ojcowie rodzin, których duszą wydatki na toalety dla ich lepszych połów, niewiasty nie będą sobie łamać głowy, jakiego wymyślić nowego potwora futrzanego, a poza tem będą wewnętrznie zadowolone, widząc, że przyczyniły się do dobrego celu, oddając niepotrzebne ozdoby na zaopatrzenie naszych dzielnych obrońców w to, co im w zimie jest najbardziej potrzebnem. Będą to prawdziwe *Liebesgaben!*

Nad tą sprawą dłużej zastanawiać się nie mogę, spieszę się bowiem na otwarcie pierwszej kuchni wojennej dla intelligencyi! Wczoraj kupiłem sobie bilet obiadowy i otrzymałem numer 5115, z czego wnoszę, że popyt na tani i zdrowy wikt jest ogromny, jeśli *nota bene* wydawano bilety w zwykłym porządku, a nie n. p. od liczby 5000. U nas bowiem dzieją się różne nadzwyczajności. Onegdaj jechałem wozem tramwajowym nr. 501, mógłby więc dziwić się ktoś, kto słyszy narzekania, że Zarząd krakowskich tramwajów nie rozporządza należytą liczbą wozów i posądzić narzekającego o złą wolę.

Kuchniom życzę rozwoju, na jaki zasługują. — Jest to instytucya w wojennym, ciężkim czasie zasługująca ze wszechmiar na poparcie ogółu, bo mająca ulżyć biedzie, jaka nam dokucza. Przy sposobności, gdy się nieco rozpatrzę w sytuacyi na miejscu, poświęcę i im gorącą kronikarską wzmiankę, wiadomo bowiem, że droga do serca człowieka idzie przez żołądek i że niczem tak łatwo, jak dobrym obiadkiem, choćby nawet miał kosztować i koronę, można sobie zdobyć miłość i uznanie bliźnich.

Skoro już zawadziłem o aprowizacyę, muszę z zadowoleniem zanotować, że podobno nie brak nam już mąki, będą też i ziemniaki i cukier, wieprzowina staniała, w Niemczech zaś, w Szwecyi i Norwegii nałapano tyle śledzi, że wystarczy do obdzielenia całej Europy. Aby zaś uradować i nasze panie, dodam, że w Paryżu ogromnie spadły w cenie perfumy, co prawdopodobnie odbije się też i na naszych stosunkach.

Na dalszy ciąg wojny możemy więc czekać w spokoju, bo już z głodu nie pomrzemy. A koniec ten może już nie tak od nas daleki. Koalicyi powoli zaczyna miękać rura, gdy widzi, że coraz gorzej się jej dzieje. Zwłaszcza w Rumunii armie sprzymierzone czynią takie postępy, że maluczko, a król Ferdynand będzie musiał szukać gościny za granicami swej nowej ojczyzny i przyjdzie może do przekonania, choć po niewczasie, że to bardzo brzydko i nawet niezdrowo, gdy kto dopuści się wiarołomstwa wobec swego dawnego dobroczyńcy. Tak się złożyło, że Rumunia może bardzo łatwo podzielić los Belgii, Serbii i Czarnogóry i zniknąć z mapy Europy. Teraz dopiero pokazuje się, że król grecki Konstantyn, miał rozum, nie chcąc lekkomyślnie puszczać się na bystre fale, jak tego czwórporozumienie żądało. Jego koronowanych kolegów uniosły one i kto wie, czy szczęśliwie dobiją do brzegu, on jest jeszcze w tem miłem położeniu, że ma stały grunt pod nogami.

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożył Wicek-Wacek, Nowy Sącz

Wstecz czwarta, to zaimek jest w szóstym przypadku,
Pierwsza, druga i trzecia, same to litery,
Całość, choć ukończony, zwykle jeść co nie ma,
Więc proszę razem złożyć ot te zgłoski cztery.

Kwadrat magiczny.

Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Podane litery tak poprzestawiać, aby utworzyły cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a
a i j k
k n n n
n r u u

Znaczenie wyrazów: 1. Ciężar, niesiony przez konia. 2. Pierwiastek 3 Postać z Biblii. 4 Imię żeńskie

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Swit! Sprzedam w zimie sto setek jaj z mazi po kopiejce.

Logogryf.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzą nazwiska dwu polskich historyków.

□ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2 Kwiat. 3. Motyl 4. Ryba 5 Znak pisarski. 6 Morski małż. 7. Alkaloid 8. Srodek odurzający. 9 Związek chemiczny.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Za dąbrową jodeł chór! Maćku, sam przy świetle lamp śpi jej wnuk

Trójkąt magiczny.

Ułożył E Winter, Tarnów

W miejsce kwadratów i kresek wstawić odpowiednie litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy, utworzy imię i nazwisko niedawno zmarłej polskiej pisarki ludowej

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1 Szukany wyraz 2 Wyobrażanie istot nadludzkich postacią ludzką 3. Inaczej wybić kogoś z równowagi 4 Malarz rosyjski 5 Uroczyste rozpoczęcie czynności 6 Kraj na północy 7. Urzędnik dyplomatyczny. 8. Miasto w Macedonii 9 Roślina wodna 10 Sprawozdanie. 11 Koń 12 Napój 13 Owad. 14 Zaimek osobisty. 15 Samogłoska

Równanie.

Ułożył X. Nilik, Kraków.

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają mieć każdy tyle zgłosek, ile ich wykazuje mianownik. Z każdego należy wyjąć jedną syllabę, a otrzymamy w pierwszem równaniu nazwisko znanego polskiego powieściopisarza, w drugiem tytuł jego utworu

$$\frac{a}{2}+\frac{b}{3}+\frac{c}{3}+\frac{d}{2}=x.$$

$$\frac{m}{2}+\frac{n}{2}+\frac{o}{2}+\frac{p}{2}=y.$$

Znaczenie wyrazów: a) Owoc. b) Imię żeńskie c) Poeta polski. d) Kawał odoranej ziemi. m) Odznaka. n) Część wozu. o) Wybrany naród. p) Zdrobniałe imię żeńskie.

Szarada.

Ułożył Wicek-Wacek, Nowy Sącz.

Pięć zgłosek tworzy *całość,* co potrzebna wszędzie,
Gdzie ząb czasu niszczące przyłożył narzędzie.
Czwartej-piątej i *czwartej-trzeciej* szukaj w lesie,
Druga-piąta, rzecz lotna, byle wiatr ją niesie,
Druga-trzecia powtarza swoją przodownicę,
Zaś *pierwszą* znajdziesz łatwo, gdy szukasz w muzyce

Zadanie do przestawienia.

Ułożył E. Winter, Tarnrów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

E! O Zofio! No film śnił się.

Bilety wizytowe.

Ułożył Z Szymanek, Nowy Sącz.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

ARTUR G K CHIMSZ

MIRON GOTISZ

D. G. Z. OSTROMIR

TOM J ORZELSKI.

IZA RAGECKA

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Illustrowany kalendarz pamiątkowy „Nowości" na r. 1916.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 43.

Zadanie do przestawienia: Kto borguje, ten się z butów zzuje

Kwadrat magiczny:

L u p n l
u p o r u
p o t o p
n r o k u
l u p u l

Zadanie do przestawienia· Gdyby ciocia miała wąsy, toby była wujciem.

Trójkąt magiczny:

W o j c i e c h W e i s s
O l e i c a k r ó w k a
J a r o c h o w s k i
C h o ł o d z i e c
I n n o c e n t y
E s k a d r o n
C y n o b e r
H r a b i a
W a ż k a
E d e n
I w o
S u
S

Szarada: Dejotarus

Logogryf:

B e r b e r y s
P a l a f o k s
f e r e t r o n
c i e t r z e w
p o z i o m k a
p r o c e s y a
k l e s z c z e
F r e i b u r g
a r s e n a ł y
G r z e g o r z
j e ż o w i e c
M e n a n d e r
s u e h e d n i
o k o p i s k o
i n d u k c y a

Zadanie do przestawienia: Nie każdy śpi, co chrapie.

Równanie:

Mac Mahon + **ch**irurg + **a**newroza + Cromvel + Marsylianka = **Macchiavelli.**

Bilety wizytowe: Nauczyciel. Zakonnica. Administrator. Restaurator. Finansista.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: F. Horak Oświęcim, W. Rachwalski Bochnia, K. Ciesielski Poznań, S. Galiński Nowy Sącz, J. Rogalski Radłów, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Radziński Sucha, J. Broda Kraków, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Praga, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów, A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki, J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Wiedeń, D. Sedyńska Zakopane, J. Kopczyńska Bierzanów, R. Knapik Kraków, W. Świrski Zakopane, Z. Rogozińska Kraków, S. Medyński Zakopane, J. Krawecki Bochnia, Cz. Lipiński Zakopane, M. Domagalska Kraków, J. Łopatkiewicz Wiedeń, Jan Górka Kraków, J. Ciszewski Peszt, W. Błoński Kraków, J. Baczyński Kraków, J. Jahoda Cieszyn, M. Sperling Wiedeń, W. Kadulska Kraków, W. Krzywicki Praga. K. Reichenberg Cieszyn, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Zakopane, K. Leszczyński Wiedeń, E. Laskowski Jordanów, T. Rzepecki Poznań, S Kamocki Wiedeń, H. Ungar Wiedeń, R. Sadowski Kraków, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Wadowice, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, H. Obst Praga, I. Brzostowski Chrzanów, K Gołąb Nowy Sącz, S Roth Tarnów, W. Stachowicz Lwów, A Gliński Przemyśl, E Winter Tarnów, R. Królicki Krościenko, Z. Szymanek Kraków, A Wiewióra Nowy Iczyn

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **M. Sperling Wiedeń**
Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

W Krakowie, przy ulicy Biskupiej l. 18, istnieje „Przytulisko weteranów powstania z roku 1863/4" jedyny w Polsce dom inwalidów, gdzie uczestnicy walk o wolność Ojczyzny, obecnie wiekiem zniedołężniali i do pracy niezdolni starcy, u schyłku życia znajdują utrzymanie i opiekę lekarską.

Skutkiem wzrastającej drożyzny, koszta wyżywienia, odzienia i leków zwiększyły się niemal potrójnie w porównaniu z czasem przedwojennym, co sprawia, że, pomimo największej oszczędności, położenie finansowe Przytuliska staje się coraz trudniejszem

Budżet na rok 1916 wykazuje niedobór w kwocie 14 840 K., który to niedobór w bieżącym roku tylko w części z dobroczynności publicznej został pokryty.

W roku 1915 z wkładek członków wpłynęło o 472 koron mniej, niż w roku 1913

Próśb udowodnionych weteranów walk z r. 1863/4 o przyjęcie do Przytuliska, nadchodzi coraz więcej. Złamani wiekiem i losem, potrzebują przystani, gdzieby zabezpieczeni od głodu i zimna, w spokoju mogli dokonać reszty dni swoich

Odmówić ich prośbom nie można, gdyż nie wolno nam dopuścić, aby Ci, którzy walczyli i cierpieli za naszą świętą sprawę, ginęli marnie w ostatniej nędzy.

Rodacy! W dniu Wszystkich Swiętych i w dniu Zadusznym według możności Waszej składajcie datki na utrzymanie weteranów z r 1863/4 w namiocie Przytuliska w pobliżu kaplicy na cmentarzu krakowskim.

Datki na ten cel przyjmują także Administracye miejscowych dzienników.

Kto wie co o nim?



Mężczyzna na wyżej przedstawionej fotografii znajduje się od dnia 17 października b. r. z powodu dezercyi i kradzieży w areszcie śledczym przy c. i k. wojskowym sądzie obwodowym w Olkuszu (Królestwo Polskie). On podał, że nazywa się Józef Scieżka, pochodzi z Tarnowa i zdezerterował z pierwszego pułku ułanów. Przekonano się jednak, że zeznania jego nie odpowiadają prawdzie.

Uprasza się przeto wszelkie o nim wiadomości nadsyłać do c. i k. wojskowego sądu obwodowego w Olkuszu (Królestwo Polskie).

C. i k. naczelnik sądu
(Podpis nieczytelny).

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego